

mododirze

ZIELONA GÓRA 24 V — 6 VI 1989 R.
ROK XXXIII NR 11 [694] CENA 60 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KOLARZ OD URODZENIA

KATYŃ

1/4

Dzieci KOSMOSU

program tv na dwa tygodnie

NICZEGO SIĘ NIE NAUCZYŁ

SCENY MIŁOSNE

GRAĆ OSTRO

Rozmowa z **BLĄŻEJEM ZDZISŁAWEM CICHYM**,
niezależnym kandydatem na senatora



ZDZISŁAW CICHY... „chcę powalczyć w senacie...”

Fot. TOMASZ GAWALKIEWICZ

— Jak pan to robi? Wielu dyrektorów przedsiębiorstw uważa, że od 1979 roku tracimy czas. Słowo „kryzys” jest wytrychem wyjaśniającym wszystko. Pan zaś, małe, deficytowe przedsiębiorstwo, przekształcił w znakomitą, no wczesną firmę. Jaka jest recepta, na sukces?

— Obowiązują nas reguły gry gospodarczej, takie same jak wszystkich. Jak innych, dotykają nas takie same kłopoty. Nie działamy na wyspie szczęśliwej. Trzeba było wyrobić w sobie agresywne podejście wobec trudności, ugruntować przeświadczenie, że każdą można przeskoczyć. Dobra organizacja, ład na budowie, komputeryzacja, przywiązanie uwagi do jakości wykonywanej pracy, godziwe zarobki, wszystko to, jako system, wywiera ogromny wpływ na stosunki międzyludzkie, sprzyja ujawnieniu lepszej strony natury człowieka. Wśród budowlanych istnieje przeświadczenie, że praca w „Mo derbudzie” pozwala rosnąć zawodowo, daje szansę poznania świata, jest okazją do dorobienia się.

— I to jest recepta na sukces?

— Rozczaruję? Nie na to nie poradz. Nasze tajemnice nie są żadnymi tajemnicami. Chętnie się nimi dzielimy. Tylko najgorsze jest to, że nie ma chętnych do korzystania z naszych doświadczeń. Nie ma chętnych do podejmowania ryzyka. Grono moich współpracowników znalazło w sobie odwagę, aby podpisać pierwsze kontrakty na usługi wykonywane poza granicami kraju. W Austrii, Republice Federalnej Niemiec. Okazało się, że nie święci garnki lepią. Daliśmy radę. Gdy podpisaliśmy kontrakt na budowę luksusowego hotelu na Syberii, takich którzy stukali się w czoło, było wielu. Teraz w Nowosybirsku trwają roboty wykończeniowe. Egza min zdany w surowych warunkach tam tego klimatu, okaz dobrej polskiej to boty otworzył przed naszą firmą ogromny rynek radziecki. Sygnalizują się oferty. Mamy bogaty wybór.

Czterdzieści procent naszych możliwości jest aktualnie zaangażowanych poza granicami kraju, być może, to zaangażowanie będzie jeszcze większe. Ekspert usług budowlanych stymuluje rozwój firmy, poprawia samopoczucie

związanych z nią ludzi, wzbogaca nasze wyposażenie techniczne. Wszyscy widzą, jak zaczęliśmy się zabierać do budowy orbisowskiego hotelu w Zielonej Górze. Widzą dwa dźwigi przystosowane do robót wysokościowych. Wszyscy wiedzą, jak trudno w kraju o podobne urządzenia a tu, na jednym placu budowy, stoją aż dwa. Powiadają, że jest to techniczna rozpusta. A ja mówię, że na podobnym placu budowy w RFN, stoją cztery. Zaufaj tylko, że nas jeszcze na cztery nie stać.

Działalność na cudzych rynkach uczy rozmachu. Pozwala sięgnąć do kraju nie tylko nową technikę, ale także pozytywne rozwiązania organizacyjne, nowe technologie. Przyjrzelśmy się dość dokładnie temu, jak budują mieszkania Niemcy. Osiedle mieszkaniowe, które budować będziemy w Zielonej Górze — my tak samo jak Niemcy stawiamy na monolit — stanie się przykładem korzystania z ich doświadczeń. Jestem zdania, że uczyć się trzeba od każdego. Z pewnością jest to tańsze od nauki na własnych błędach.

— Jaka jest przyszłość kierowanej przez pana firmy?

— Duży eksport, zwłaszcza na kierunku wschodnim, mocna obecność na rynku macierzystym, pogłębienie rozpoczętych procesów. Naszym robotnikom do bra, solidna robota, wchodzi w krew. Uważam, że dobra zapłata, jest bardzo ważnym stymulatorem wydajności. Jednak nie jedynym. Dyskutujemy obecnie nad tym w jaki sposób związać wszystkich u nas zatrudnionych z ogólnymi wynikami, ekonomicznymi i technicznymi firmy. Chcemy, aby każdy pracownik „Modernbudu” czuł się współwłaścicielem naszego przedsiębiorstwa. Reforma gospodarcza, luz na myślenie i decyzje, pozwala przyjmować różne rozwiązania. Generalnie zależy nam na upodmiotowieniu pracy. Ranga pracy jest dziś w Polsce niska. Trzeba zrobić wszystko aby była inna, by stała się sposobem na życie. Jeśli nie uczynimy z pracy podstawowego kryterium oceny człowieka, długo będziemy wychodzić z dolki i nie wiem, czy w ogóle wyjdziemy.

— Przykład „Modernbudu” dowodzi, że nawet w bardzo trudnych warunkach

można się pokusić o osiągnięcie sukcesu. Czy pan sam uważa się za człowieka sukcesu?

— Powinienem zarumienić się, zmrużyć oczy i rzec — ależ bynajmniej! Powiem inaczej. Jako ten, który posadził parę drzew, postawił parę domów, wśród których jest również własny, powinienem się uspokoić. A mnie ciągle goni. Chcę zobaczyć to, co jest za horyzontem. Pewnie. To jest ważne, że firma której dyktuję, się wybija. Ważne jest i to, że ludzie którzy w niej pracują, utożsamiają się z nią, popiera ją swego szefa. Ważny jest bilans ogólnych działań, wyliczony przez księgowych zysk. A ja się ciągle zastanawiam, czy to ma być wszystko? Przedsiębiorstwo jest formą organizacji społeczeństwa. Dla pewnej jego części jest sposobem na życie. Większości służy zaspokajając jej potrzeby. Sytuacja gospodarki jest niedobra, ośmielam się mówić — rozpaczliwa. Przedsiębiorstwa toną w kłopotach. Wiele z nich walczy o utrzymanie się na powierzchni, o przetrwanie. Nie stać je na działanie w szerszym wymiarze społecznym. Zasklepiają się w sobie. Takie postawie sprzyja przepisy finansowe, system podatkowy. Dostrzegam szkodliwość takiego za sklepiania się w sobie.

— Był pan na obszarze województwa zielonogórskiego pierwszym i jak dotąd jedyнным, dyrektorem państwowego przedsiębiorstwa, który odważył się wydać dziennikarzy na swoje zagraniczne budowy.

— To był drobiazg. Dobremu dyrektorowi powinno zależeć na publicyści.

— Teraz kupuje pan silnik dla żużlowca Andrzeja Huszczy. Czy to też troska o popularność?

— Po pierwsze, to nie ja kupuję, tylko część naszej załogi pracująca na terenie Republiki Federalnej Niemiec. Po drugie, są to kibice, którym zależy na sukcesach klubu, na dobrych wynikach jazdy ich ulubieńca. Po trzecie wreszcie, ja tylko pomagam w realizacji tego zamysłu. Przypadek Huszczy, żużlowca, który nie ma na czym jeździć, istotnie, zryłował mnie bardzo. Jest to przypadek typowy. W laboratoriach naukowych praca nie idzie do przodu z powodu braku importowanego odczynnika i kilku dolarów na ich zakup. W szpitalach, często wyposażonych w bardzo nowoczesny sprzęt, sprowadzony za tysiące dolarów, urządzenia stoją, bo brak dewiz na wymienienie zepsutej części. Wielkich spraw nie zostało zrealizowanych z powodu drobiazgowości? Ile rządów kraju położonego w centrum Europy, podobno cywilizowanego, zamożnego w surowce, potknęło się na rolce papieru toaletowego?

Ciąg dalszy na str. 5



Serdeczny uścisk: Halina Lubicz, jak widać popiera Antoninę Grzegorzewską w jej boju o mandat senatora

Wybory '89

Lista Krajowa

1. BAKA WŁADYSŁAW, lat 53, prof. ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego, KC PZPR — sekretarz, Rada Główna PTE — członek, zam. Warszawa-Sródmieście.
2. BARCIKOWSKI KAZIMIERZ, lat 62, ekonomista, Rada Państwa — z-ca prze wodniczącego, Naczelna Ra da Spółdzielcza — przewo dniczący, zam. Warszawa-Sródmieście.
3. CIOSEK STANISŁAW JO ZEF, lat 50, ekonomista, KC PZPR — sekretarz, Ra da Krajowa PRON — wiceprzewodniczący, zam. War szawa-Sródmieście.
4. CZYREK JOZEF, lat 61, ekonomista, KC PZPR — sekretarz, Rada Krajowa PRON — wiceprzewodni czący, zam. Warszawa-Sródmieście.
5. GWIŹDZ WIESŁAW, lat 55, pedagog, Zarząd Krajo wy PZKS — prezes, zam. Katowice.
6. JAKUBOWSKI MIECZY SŁAW ALEKSANDER, lat 55, ekonomista, rzemieślnik, CK SD — wiceprzewodni czący, zam. Warszawa-Zoliborz.
7. JOZWIAK JERZY, lat 52, prawnik, CK SD — prze wodniczący, zam. Warsza wa-Mokotów.
8. KABAT MAREK ROMU AŁD, lat 58, filolog, ZG Stowarzyszenia PAX — se kretarz, zam. Warszawa-Zoliborz.
9. KACZMAREK JAN, lat 60, prof. nauk technicznych, PAN — kier. zakładu, NOT — prezes, zam. Warszawa -Sródmieście.
10. KANIA STANISŁAW, lat 62, ekonomista, Komisja Spraw Samorządowych Sej mu — przewodniczący, zam. Warszawa-Sródmieście.
11. KAWALEROWICZ JERZY, lat 67, reżyser filmowy, ZPPE — kier. artystyczny, zam. Warszawa-Mokotów.
12. KISZCZAK CZESŁAW, lat 64, żołnierz zawodowy, mi nister spraw wewnętrznych, zam. Warszawa-Mokotów.
13. KOMENDER ZENON, lat 66, publicysta, Rada Pań stwa — z-ca przewodniczą cego, ZG Stowarzyszenia PAX — przewodniczący, zam. Warszawa-Mokotów.
14. KOWALCZYK ZOFIA, lat 44, rolniczka, własne gos podarstwo rolne, zam. Bu dy Grzebyk, woj. skiernie wickie.
15. KOZAKIEWICZ MIKOŁAJ, lat 64, prof. socjologii oświaty, PAN, zam. Warz awa-Zoliborz.
16. KROLEWSKI BOGDAN, lat 45, inż. rolnik, ekono mista, NK ZSL — sekre tarz, zam. Warszawa-Moko tów.
17. LEYK WIKTOR MAREK, lat 38, dziennikarz, ZK Uch — wiceprezes, zam. Szczepno, woj. olsztyńskie.
18. LECZAROWICZ ELZBIE TA, lat 42, pedagog, ZG Ligi Kobiet Polskich — przewodnicząca, zam. Kra ków-Krowdrza.
19. LUDWICZAK DOMINIK, lat 49, rolnik, własne gosp. rolne, NK ZSL — wicepre zes, zam. Trzebiaw, woj. po znańskie.
20. MACISZEWSKI JAREMA, lat 59, prof. historii — U niwersytet Warszawski, Aka demia Nauk Społecznych — rektor, zam. Warszawa-Sródmieście.
21. MAKSYMIAK JANUSZ, lat 42, inż. rolnik, własne gosp. rolne, RG KZKIOR przewodniczący, zam. Oleś nica, woj. wrocławskie.
22. MALINOWSKI ROMAN, lat 54, ekonomista, NK ZSL — prezes, marszałek Sejmu, zam. Warszawa-Sródmieście.
23. MIEŁOCH JAN, lat 59, e konomista, Zjednoczone Ze spoly Gospodarcze — dy rektor, zam. Warszawa-Mo kotów.
24. MIODOWICZ ALFRED, lat 60, hutnik, OPZZ — prze wodniczący, zam. Warsza wa-Mokotów.
25. MORAWSKI KAZIMIERZ, lat 60, dziennikarz — pu blicysta, ZK Uch — pre zes, Rada Państwa — czło nek, zam. Warszawa-Moko tów.
26. OLESIAK KAZIMIERZ, lat 52, ekonomista, wiceprezes Rady Ministrów,

minister rolnictwa, leśnic twa i gospodarki żywno ściowej, zam. Warszawa-Sródmieście.

27. RAKOWSKI MIECZY SŁAW FRANCISZEK, lat 63, historyk, prezes Rady Ministrów, zam. Warsza wa-Sródmieście.

28. SIWICKI FLORIAN, lat 64, żołnierz zawodowy, mini ster obrony narodowej, zam. Warszawa-Mokotów.

29. SZAWIEC JOZEF, lat 41, administratywista, CK SD — sekretarz, zam. Biały stok.

30. SZELACHOWSKI TADE USZ, lat 57, lekarz med., Rada Państwa — z-ca prze wodniczącego, NK ZSL — wiceprezes, zam. Warszawa-Sródmieście.

31. SZURMIEJ SZYMON, lat 66, reżyser, aktor, Państwo wy Teatr Żydowski w War szawie, zam. Warszawa — Praga Południe.

32. SZYMANSKI EDWARD, lat 53, ekonomista, KC PZPR — kier. wydziału — sekretarz Komisji Organów Przedstawicielskich, zam. Warszawa-Mokotów.

33. SZYMANSKI WŁADY SŁAW, lat 48, ekonomista, SGPIŚ — prac. naukowy, Rada Państwa — członek, zam. Warszawa-Mokotów.

34. SŁIWIŃSKI STANISŁAW, lat 51, inż. rolnik, ekono mista, NK ZSL — sekre tarz, zam. Warszawa-Sródmieście.

35. ZIELIŃSKI ADAM, lat 58, prof. nauk prawnych, NSA — prezes, ZPP — prezes, zam. Warszawa-Ochota.

Z listy tej wybieramy dowol ną liczbę kandydatów. Można nie skreślać nikogo. Kolor kar ty wyborczej biały większego formatu.

Okręg wyborczy nr 107 w Zielonej Górze

Mandat nr 419

TADEUSZ BILINSKI, lat 57, prof. dr hab., pracownik naukowy WSI w Zielonej Górze.

HIERONIM GRACZYK, lat 53, inż. energetyk, dyrektor Za kładu Energetycznego w Zie lonej Górze.

WŁODZIMIERZ JANISZEWSKI, lat 54, lek. medycyny, dyrektor Wojewódzkiej Stacji Sanitarno - Epidemiologicznej w Zielonej Górze.

KAZIMIERZ JĘDRASIAK, lat 44, inż. rolnik, prezes Rolni czej Spółdzielni Produkcyjnej w Gronowie gmina Dąbie.

ANDRZEJ WOJCISZKIEWICZ, lat 32, mgr inż. chemii, przewodniczący Zarządu Miejskiego ZSMP w Zielonej Górze.

Mandat nr 420

ROMAN KLIMANN, lat 34, wykształcenie średnie rolni cze, prowadzi indywidualne gospodarstwo rolne w Nowym Kramsku gmina Babimost.

HENRYK MACKOWIAK, lat 55, inż. zootechnik, dyrektor PGR Grabice gmina Gubin.

JOZEF ZYCH, lat 51, dr nauk prawnych, radca prawny w Zielonogórskim Zakładzie Po szukiwań Nafty i Gazu w Zie lonej Górze.

Mandat nr 421

ALFRED BIELEWICZ, lat 48, lek. medycyny w ZOZ w Świe bodzinie.

WACŁAW GARBAJ, lat 43, wykształcenie wyższe ekono miczne, prezes Izby Rzemieślni czej w Zielonej Górze.

PIOTR KUBALA, lat 42, inż. elektryk, dyrektor Zakładu Ser wisu Technicznego „Interato minstrument” w Zielonej Górze.

Mandat nr 422

JAROSŁAW M. BARAŃCZAK, lat 38, dr nauk technicznych, pracownik naukowy WSI w Zielonej Górze.

JERZY KOSMALA, lat 31, ele ktrmonter w Zakładzie Płyt Piłśniowych w Zielonej Górze.

EDMUND MENCLEWSKI, lat 75, publicysta, prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia „Wi śla-Odra” w Warszawie.

MARIA M. TOMCZAK, lat 66, wykształcenie podstawowe, eme rytka w Wolsztynie.

Okręg Wyborczy nr 108 w Żarach

Mandat nr 423

JÓZEF BLASZCZYK, lat 60, lek. med., Kierownik Szpitala w Żarach.

TOMASZ NIEŚLUCHOWSKI, lat 39, inż. rolnik, Naczelnik Gminy Żagań.

WALERIAN SOLIŃSKI, lat 48, inż., zastępca dyrektora ds. technicznych w „Dozamecie” w Nowej Soli.

Mandat nr 424

ANDRZEJ GABRYŚZEWSKI, lat 49, wykształcenie wyższe matematyczne, informatyk w Branżowym Ośrodku ETO w Prusze Gdańskim, placówka w Zielonej Górze.

LUCJA KŁOS, lat 62, wykształ cenie podstawowe, emerytowa na rolniczka ze wsi Łazy, gmi na Żary.

Mandat nr 425

RYSZARD NIKOS, lat 48, lek. stomatolog w Jasieniu.

TADEUSZ SIERŻANT, lat 43, dr nauk technicznych, prowa dzi indywidualne gospodarstwo rolne we wsi Kosieczyn, gm. Zbąszynek.

RYSZARD SZYKULA, lat 37, absolwent Wyższego Semina rium Duchownego w Warsza wie, proboszcz parafii polsko katolickiej w Szprotawie.

Z tej listy wybieramy ty ki po jednym kandydacie na posła. Jeden mandat — jeden poseł. Kolor karty wyborczej biały.

Wojewódzka Komisja Wyborcza w Zielonej Górze

Lista kandydatów na senatorów

JAN ANDRYKIEWICZ, lat 38, dr nauk historycznych, praco wnik naukowy WSP w Zie lo nej Górze, rolnik indywidual ny we wsi Jany k/Zielonej Gó ry.

BLAŻEJ Z. CICHY, lat 53, absolwent WSI w Zielonej Górze, dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego „Modernbud” w Żaganiu.

MARIAN ECKERT, lat 57, prof. dr hab. rektor WSI w Zielonej Górze.

ANTONINA GRZEGORZEWSKA, lat 48, wykształcenie wyższe ekonomiczne, dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Obli czeniowego NBP w Zielonej Górze.

WŁADYSŁAW KOŚCIEL NIAK, lat 41, lek. med., or dy nator oddziału intensywnej te rapii w Wojewódzkim Szpi ta lu Zespolonym w Zielonej Górze.

EDWARD LIPIEC, lat 53, inż. ogrodnik, prowadzi indywidu alne gospodarstwo rolne w Dro żkowie k/Żar.

WALERIAN PIOTROWSKI, lat 62, wykształcenie wyższe prawnicze, adwokat w Zespo le Adwokackim nr 2 w Zie lo nej Górze.

STANISŁAW WRÓBEL, lat 32, wykształcenie niepełne średnie, robotnik w Kombinacie PGR Świebodzin — Zakład Rolny w Lubinie.

Z tej listy wybieramy ty ki 2 kandydatów na senato rów. Kolor karty wyborczej różowy.

Okręg wyborczy nr 25 w Gorzowie Wlk.

Mandat nr 99

RYSZARD DYRAK, lat 39, inż. budownictwa, dyrektor Gorz owskiego Budownictwa Prze mysłowego.

KAZIMIERZ RAPACZ, lat 52, inż. mechanik, dyrektor Kos trzyńskich Zakładów Papier nicznych.

BOGDAN KUNICKI, lat 43, dr socjologii, dziekan Wydziału Zamiejscowego AWF w Gorzo wie.

Mandat nr 100

RYSZARD KOŁODZIEJ, lat 41, inż. rolnik z Dębna Lubuskiego, pracownik Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolni czego.

ANDRZEJ PLISZKA, lat 43, lek. weterynarii w Państwowym Zakładzie Leczenia Zwie rząt w Choszczynie.

STANISŁAW WITTCHEŃ, lat 38, rolnik indywidualny we wsi Dornowo-Młyn, gm. Mię dzychód.

Mandat nr 101

WALENTY MACKOWIAK, lat 60, inż. rolnik, dyrektor Zakła du Hodowli i Aklimatyzacji Roślin „Malyszyn” w Gorzo wie.

STANISŁAW BOZEK, lat 43, rolnik indywidualny we wsi Kuźnik, gm. Międzyrzecz.

Mandat nr 102

WIESŁAW PIELASA, lat 52, rolnik indywidualny we wsi Janczewo, gm. Międzyrzecz.

MALGORZATA BACHAŁSKA, lat 49, wykształcenie prawni cze, radca prawny w Handlo wo-Usługowej Spółdzielni Spo żywców „Społem” w Gorzowie.

ZOFIA KRAWCZYK, lat 46, wykształcenie wyższe pedago giczne, nauczycielka w Zespo le Szkół Budowlanych w Mię dzychodzie.

MIROSŁAW DANISZEWSKI, lat 59, lek. med., dyrektor Te renowej Stacji Sanitarno-Epi demiologicznej w Słubicach.

MAREK RUSAKIEWICZ, lat 25, student Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu.

Okręg Wyborczy nr 26 w Choszczynie

Mandat nr 103

LUCJAN CHOJECKI, lat 43, inż. leśnik, nadleśniczy w Nad leśnictwie Smolary, gm. Drez denko.

JANINA DZIELAK-GRZESKO WIAK, lat 53, wykształcenie wyższe filologiczne, nauczelnik miasta i gminy Choszczyno.

KAZIMIERA KWIATKOWSKA, lat 42, inż. zootechnik, specjalista d/s produkcji zwierzęcej w Strzeckim Kombinacie Rol nym.

Mandat nr 104

GRAZYNA WOJCIECHOW SKA, lat 41, wykształcenie wyższe, przewodnicząca ZO Związku Nauczycielstwa Pol skiego w Gorzowie.

WŁODZIMIERZ MOKRY, lat 40, wykształcenie wyższe, praco wnik naukowy Uniwersyte tu Jagiellońskiego w Krako wie.

RYSZARD DJAKOW, lat 36, inż. rolnik, rolnik indywidua lny ze wsi Dzikowo, gm. Bar linek.

JANUSZ WALDEMAR KLE KA, lat 42, inż. rolnik, rolnik indywidua lny, we wsi Barni mie, gm. Drawno.

Z tej listy wybieramy ty lko po jednym kandydacie na po sła. Jeden mandat — jeden po seł. Kolor karty wyborczej bia ły.

Wojewódzka Komisja Wyborcza w Gorzowie

Lista kandydatów na senatorów

ALEKSANDER ZIELONKA, lat 56, lek. med., dyrektor Zespołu Opieki Zdrowotnej w Międzyrzecz.

JAN ŚWIREPO, lat 48, inż. mechanik, dyrektor POM w Strzelcach Kraj.

FRANCISZEK SŁIWIŃSKI, lat 37, wykształcenie wyższe teologiczne, przewodniczący Od działu Wojewódzkiego Stowa rzyszenia „PAX” w Gorzowie.

PIOTR SŁEPOWROŃSKI, lat 41, wykształcenie wyższe ekono miczne, dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska UW w Gorzowie.

STEFANIA HEJMANOWSKA, lat 52, wykształcenie średnie, pracownik Zespołu Adwokackiego w Gorzowie.

STANISŁAW ZYTKOWSKI, lat 41, wykształcenie wyższe prawnicze, radca prawny w Gminnej Spółdzielni „Sch” w Gorzowie.

ROZALIA ALEKSANDRO WICZ, lat 55, wykształcenie ekonomiczne, właścicielka pry watnego zakładu cukiernicze go w Gorzowie.

WIKTOR KINECKI, lat 59, wykształcenie wyższe politolo giczne, I sekretarz KW PZPR w Gorzowie.

JANUSZ GRAMZA, lat 46, inż. mechanik, dyrektor naczelny, ZWCh „Stilon” w Gorzowie.

ZDZISŁAW MORAWSKI, lat 63, literat z Gorzowa.

BONIFACY KOZŁOWSKI, lat 57, lek. med., Kierownik Przy chodni w ZOZ w Barlinku.

RYSZARD KOZIKOWSKI, lat 32, wykształcenie wyższe ekono miczne, wiceprezydent Gor zowa.

EDWARD POLAK, lat 53, rol nik indywidualny we wsi Le mierzycze, gm. Słomik.

Z tej listy wybieramy 2 kan dydatów na senatorów. Kolor karty wyborczej różowy.

Uwaga: opublikowane przez na listy kandydatów mogą być uzupełnione przez komi sję wyborczą do 20 maja br., czego ze względu na harmono gram druku nie jesteśmy w stanie uwzględnić.

Mecenat wciąż niezawodny

W okresie tak trudnym dla kultury, w coraz większym stopniu pozba wianej mecenatu państwowego i podgrzyżanej prymitywną komercjalizacją, na szczególne uznanie zasługuje troska Wojska Polskiego o zapewnienie wa runków dla rozwoju talentów zarówno żołnierzom służby czynnej jak i za sadniczej oraz członków ich rodzin, a także tych wszystkich, których łączy z nimi więź serdeczna z ludźmi w mundurach. Ten mecenat jest ciągle zauważalny i przynosi wprost niewymierne efekty społeczne. Przecież właśnie przy pomocy Wojska Polskiego rozwijają swoje talenty młodzi pla stycy, muzycy, ludzie pióra, próbujący swych sił i możliwości w uprawia niu ogrodów poetyckich bądź pisaniu utworów prozatorskich. I wcale to nie oznacza, że mają oni z góry narzucone tematy dotyczące właśnie pro blematyki obronności naszego kraju, że muszą pisać pod dyktando mecenasa...

Tu na marginesie chciałbym pośrednio wyrazić swój stosunek wobec tych wszystkich domagających się zmniejszenia budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej i resortu Spraw Wewnętrznych, w imię rzekomo niezbędnego warunku po lepszenia sytuacji gospodarczej kraju. Takimi głosami beztrósko szermuje się w kampanii wyborczej, wcześniej padły one podczas obrad „okrągłego stołu”. Autorom takich wypowiedzi warto przypomnieć, jak wiele ludzi w mundurach zrobili właśnie dla gospodarki kraju, żeby tylko przykładowo wymienić zwalczanie klęsk żywiołowych, budowę licznych mostów i torowisk kolejowych, domów mieszkalnych i infrastruktury dużych aglomeracji miejskich. A przecież te dokonania miały i mają charakter najzupełniej spo łeczny, nie mieszczą się one w precyzyjnie określonych regulaminami służbowymi obowiązkach obronności kraju i pilnowaniu porządku, ładu społecz nego...

Ale powróćmy na niwę kultury. W regionie lubuskim mamy wiele przy kładów optymistycznych. Oto niedawno staraniem Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gorzowie ukazały się dwa tomiki wierszy, fraszek i aforyzmów autorów, skupionych w klubie artystów-amatorów. Również niedawno członkinie klubu zielonogórskiego WUSW prezentowały swoje pra ce na ogólnopolskiej prezentacji dorobku artystów-amatorów, zorganizowa nej w Lesznie przez MSW.

A w majowych Dniach Kultury do Żagania zjechali liczni poeci i pro zaicy na III Warsztaty Literackie Śląskiego Okręgu Wojskowego, aby przez trzy dni dyskutować i spierać się na tematy literackie, uczestniczyć w spotkaniach z żołnierzami, obejrzeć spektakl miejscowego teatru „Kwadrat”, pracującego pod opieką ppłk. Bogdana Sztuby. Ten sześciocobowy zespół utalentowanych młodych ludzi wystawił bardzo interesujące fragmenty „Clowna” Andrzeja Strzeleckiego, iskrzącą satyrą i bardzo współcześnie brzmiącym humorem. Sztukę reżyserowała Bogumiła Markulak, jedna z wykonawczych spektaklu.

Młodym piszącym, wśród których byli również przedstawiciele piśi pęknej, patronował Klub Literacki działający przy Śląskim Okręgu Wojsko wym, zwany Żołnierską Grupą Literacką „Tematy”. Jednym z konsultan tów literackich był znany wrocławski krytyk Marek Gorbala. Niestety, nie dojechali inni zaproszeni goście, wśród nich przedstawiciele Narodowej Ra dy Kultury.

Niemniej, imprezę żagańską należy uznać za udaną. Niektórzy jej ucze stnicy mają już wydane przez Klub Literacki SOW indywidualne tomiki poetyckie, innym pomogły regionalne towarzystwa kultury. W grupie ucze stników spotkałem między innymi znanych już z prasy krajowej społeczno kulturalnej takich autorów, jak Leszek Czachorowski czy Tomasz Fellmann. Oni to głównie wspomagali referentów w polemikach literackich, w warszta towych dyskusjach. Były one niekiedy ostre, ale przecież wynikały z po trzeby wyjaśnienia wielu problemów natury artystycznej, obrony własnych konwencji poetyckich i dociekliwych poszukiwań formalnych.

Dotychczas, jak wynikało to z wystawy wydawnictw Klubu SOW, uka zały się takie publikacje, jak almanach „Na początku” (1986), zbiorek wierszy Leszka Czachorowskiego „Nie — łagodna” (1987), Plakat literacki (1987), zbiorek opowiadań Macieja A. Suszka „Wiatr” (1988), tomik wierszy Stanisła wa M. Drygalskiego „Ciagle szukam siebie” (1988), almanach „Nie żal czasu” zawierający wiersze Leszka Czachorowskiego, Stanisława M. Drygalskiego, Tomasza Fellmanna, Piotra Gajdy, Marka Garbala, Sławomira Gizińskiego, Sławomira Grochowskiego, Adama Jankowiaka, Andrzeja Kniazia, Mar ka Pietralika, Bogusława Politowskiego, Jana Krzysztofa Szczęsnego i Iwo ny Utrackiej. Podobnie jak ten almanach, także tomik poetycki Tomasza Fellmanna pt. „Od — do” ukazał się w tym roku, w ładnej szacie graficz nej. Świeżą też publikacją jest almanach prozatorski pt. „Światło” zawiera jący utwory sześciu autorów. Natomiast Elżbieta Ambroz zaprezentowała swój tomik poetycki, wydany przez Nadnoteckie Towarzystwo Społeczno Kulturalne w Pile.

Takie formy niezawodnego, tycziwego mecenasowania są nadal bardzo potrzebne. W wojsku i służbach wewnętrznych o tym się zapomina. To dobrze, to bardzo pocieszające!

ZENON LUKASZEWICZ

Zbigniew Spruch — kolarz LKS PKS „Trasa” Zielona Góra właściwie dopiero w ostatnich dwóch sezonach dał się poznać szerzej publiczności. Są jednak ludzie, którzy już w małym Zbysku widzieli chłopaka z zadatkami na sportowca dużego formatu...

Z ZAWADY W KOLARSKI ŚWIAT

„Szanowny Panie Generale! Poświęci liśmy wiele, żeby syna Zbigniewa Sprucha wychować na dobrego sportowca. Uważamy, że ma on duży talent i dlatego bardzo prosimy o przeniesienie go do odbywania służby wojskowej w sekcji kolarskiej CKWS „Legia” Warszawa, gdyż tylko tam jego zdolności mogą się prawidłowo rozwijać” — tak mniej więcej, bo kopia listu nie zachowa-

nowany trener i wychowawca młodzieży. Miał za sobą bogatą karierę sportową, wielkie doświadczenie i duży już dorobek szkoleniowy. Dziś już mało kto wie, że właśnie Prokopyszyn był odkrywcą i pierwszym menadżerem późniejszego zwycięzcy Wyścigu Pokoju i mistrza świata Leszka Piaseckiego. Zajął się Leskiem, gdy ten wyrastał ponad poziom swych młodych rówieśników w sekcji kolarskiej „Orląt” Myślibórz, gdzie znakomicie w owych czasach

począł się jego przygoda z kolarstwem, w Zielonej Górze odrodziła się sekcja, a trenerem w niej został właśnie Prokopyszyn. Szkoleniowiec, który podobnie jak ojciec Sprucha, pragnął wynagrodzić sobie żal, że sam w Wyścigu Pokoju wystartować nie mógł, wychowaniem kolarza, który by tego zaszczytu dostąpił...

W TYM CHŁOPAKU ŚWIECI ISKRA

Trener Prokopyszyn godzinami może snuć opowiadania o wszystkich swoich wychowankach. Było ich wielu. Nie wszystkim wystarczyło cierpliwości i wytrwałości, by uprawiać trudny sport kolarski. Innym nie pozwoliło na to zdrowie. Kilku doszło jednak do dobrych wyników i przyniosło chlubę swojemu klubowi. A jak to było ze Zbyskiem Spruchem?

— Przyprawiał go do klubu jesienią 1978 roku, czyli gdy chłopiec miał 13 lat, tata. Jurka Sprucha znam z jak najlepszej strony z czasów wspólnego ścigania się, toteż z uwagą przyjrzałem się jego synowi. Już na pierwszy rzut oka widać było, że małe nie jest zupełnie nowicjuszem i u ojca przeszedł fachową szkołę. Był wtedy mniejszy i młodszy od kolegów ze swej grupy szkoleniowej w klubie, ale radził sobie nadspodziewanie dzielnie. Szybko zaczął stawiać w wyścigach młodzieżowych i potrafił zabłysnąć, zwłaszcza wyjątkowo smykałką do sprinterskiego finiszu. Z miejsca zauważyłem, żeili się w nim



Na podium Zbyszek staje coraz częściej.

Po przyjeździe Prokopyszyna do Zielonej Góry, powstał klub kolarski LKS PKS „Trasa”. Trener, wraz z grupą odanych sprawie ludzi, z miejsca przystąpił do pracy. W krótkim czasie, odwiedzając szkoły i podzielnoskie wsie, zebrał kilkudziesięciu młodzieńskich adeptów kolarstwa. Zaczynał pracę od podstaw, cierpliwie czekając na znaczniejsze sukcesy. Kiedyś Kazimierz Prokopyszyn, z którym znamy się od lat, zwierzył się: „Zawsze marzyłem, by jako zawodnik dostąpić zaszczytu reprezentowania barw Polski w Wyścigu Pokoju. Nie udało się. Trudno. Teraz pragnę, by uczynił to któryś z moich wychowanków. Może to potrwać wiele lat, ale wierzę, że tak się stanie”.

To był kolejny uśmiech Fortuny do małego Zbyska. W momencie, gdy roz-

jakaś iskra, nazywana przez niektórych iskrą bożą. Po cichu zacząłem na tego chłopca liczyć, choć wiedziałem, że czeka go wiele lat pracy.

Jako junior, Zbigniew Spruch próbował sił w różnych specjalnościach kolarskich. Trener Prokopyszyn do dziś twierdzi, że to rozwija wszechstronność umiejętności zawodnika. Duże nadzieje wiązano ze Zbyskiem w kolarstwie przełajowym. Jako junior, jako jedyny Polak w tej grupie wiekowej wystąpił w mistrzostwach świata w Birmingham w Anglii. Zajął tam co prawda 16 miejsce, ale wynikło to z niezbyt dobrego

Ciąg dalszy na str. 5

NICZEGO SIĘ NIE NAUCZYŁ?

Alfred Siatecki

We wrześniu 1939 roku miał siedem lat, a to już wystarcza, by przez całe dorosłe życie pielegnować w sobie nienawiść do wrogów. Tym bardziej że w kilka dni po wejściu czerwonoarmistów do Galicji Wschodniej zginął jego ojciec. Został na świecie z matką i trojgiem rodzeństwa, wśród haličkih Polaków z trwogą powtarzających, że Ukraińcy rżną Łachów.

Gdy Ukrainie zajęli Niemcy, było jeszcze gorzej. Kto Polak, uciekał, chociaż się, błagał Boga, by darował mu życie. Potem wrócili nad Prut i Czeremosz czerwonoarmisci, a jeszcze potem, gdy noc wojny dopadła się, transporty Polaków jechały w nieznaną, na Zachód. Część jego krewnych znalazła się w Dębnie Lubuskim. On pozostał w Haličzu, utrzymując rodzinę, bo renta

po ojcu była niewielka, i chodził do szkoły ukraińskiej.

Nikt już nie śpiewał piosenki harcerskiej: „Tam szum Prutu, Czeremoszu Huculom przegrzywa, a wroca kołomyjka do tańca porwya. Dla Hucula nie ma życia jak na poloninie, gdy go losy w doły rzucą, wnet ze smutku ginie”. Niewielu też miało odwagę przyznać się do swojego polskiego pochodzenia. Najlepiej było być tutejszym — cwałować nową władzę, popierać kolektywizację, jawnie występować przeciw nacjonalistom ukraińskim. A jeszcze lepiej wstąpić do partii. Tę drogę wybrał Tadeusz Biernacki.

Zaraz po maturze zdał na uniwersytet we Lwowie, zamierzał studiować prawo, ale kto wtedy utrzymał rodzeństwo? Zapisał się na zaoczne studia historyczne i podjął pracę nauczycielską

w szkole ukraińskiej w pobliżu Haličza. Po roku został funkcjonariuszem Rajkomu Komsomolu. Gdy wybrano go na pierwszego sekretarza, pojechał do stanislawowskiej obwodowej szkoły partyjnej. Po powrocie w 1954 roku przeszedł do pracy w Rajkomie partii, został drugim sekretarzem.

— Starałem się postępować zgodnie z honorem i rozumą, tępić zło. Nie mogłem obojętnie przyglądać się temu, co mówili i jak postępowali funkcjonariusze aparatu partyjnego. Walczyłem z kanciarzami, wytykałem ich palcami. Stawałem w obronie ludzi krzywdzonych i nie godziłem się z awansowaniem cwaniaków. Przeliczyłem się ze swoimi siłami i po pięciu z pierwszych sekretarzem zostałem nauczycielem historii, potem zastępcą dyrektora szkoły. Miałem odpowiednią kwalifikację, gdyż w 1957 roku ukończyłem Instytut Pedagogiczny w Stanisławowie (dopiero w 1962 r. nastąpiła zmiana nazwy tego miasta na Iwano-Frankowskie).

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych zaczęły się zmieniać stosunki polsko-ukraińskie, zelżał terror stalinowski, nieliczne rodziny Polaków repatriowały się do Polski. W 1959 roku prawie cała rodzina Biernacków wyjechała do Dębna, on pozostał. Dlaczego? Nie wie,

Ciąg dalszy na str. 4

KATYŃ

TRAGEDII WSPÓLNEJ AKT TRZECI (5)

Tadeusz Sojka

W TEJ CHWILI POZOSTAŁ „ZESPÓŁ POLSKI”

Piszę w cudzysłowie, bo nie jest to zwarty zespół źródeł. Są to po części także dokumenty ujawnione w ostatnim czasie. Trzon tego zespołu stanowią: sprawozdania, wraz z orzeczeniem, opracowane przez dr. Mariana Wodzińskiego; który przez wiele tygodni aczkolwiek pod nadzorem Niemców przeprowadzał sądowo-karskie oględziny zwłok (także ich sekcje), a ponieważ był lekarzem ze specjalnością medycyny sądowej, mogą budzić zaufania wyniki przeprowadzonych przez niego czynności i poczynionych ustaleń, które są bardzo wyważone, także w zakresie określenia daty pochówku zwłok jeńców polskich; „Raport z Katynia”, opracowany w czerwcu 1943 r. w Warszawie przez Kazimierza Skarżyńskiego, Sekretarza Generalnego Polskiego Czerwonego Krzyża, a odnaleziony w archiwach brytyjskich i opublikowany przez prof. W.T. Kowalskiego; korespondencja z jeńcami w obozach i jeńców z rodzinami, istniejąca i domagająca się pilnego opracowania; listy zwłok jeńców, o których mowa w „Raporcie”... (list tych dotąd nie odnaleziono) oraz pełna lista zaginionych w ZSRR, od 17 września 1939 r., oficerów polskich, z uwzględnieniem danych o 4143 zwłokach poddanych oględninom w Katyniu. Przekłamanie nazwisk i imion zamordowanych oficerów polskich, na liście obejmującej owe 4143 pozycje, pojawiły się już w toku czynności ekshumacyjnych i dokumentacyjnych prowadzonych w kwietniu 1943 r. Mimo dużej staranności, nie udało się ich niestety uniknąć. „Raport”... stwierdza: „W kilku wypadkach zdarzyło się, że parę zwłok (w jednym wypadku trzy) miało przy sobie dokumenty należące bezwarunkowo do jednego z tego samego oficera. Nie jest wykluczonym, że w pewnych, niestety, nielicznych zapewne wypadkach, właściciel znalezionych w Katyniu dokumentów żyje... Nie byli to bowiem wojskowi zabici z bronią w ręku na polu walki, a grupa, która dostała się do obozu sowieckiego, po pewnym czasie, w ciągu którego ucieczki, przebieganie się, wzajemne wypozyczenie sobie odzieży mogło być na porządku dziennym”.

Takich nieścisłości spis ten zawiera, niestety, kilkadziesiąt. Wymieniony w nim prof. dr Remigiusz Bierzanek żyje.

Dokumenty te należą do opracowania, z uwzględnieniem wszystkich ustalonych dotąd okoliczności zbrodni katyńskiej, powinny ukazać się drukiem w zwartej postaci i to niezależnie od tego, czy i kiedy postawiona zostanie w tej sprawie przysięgiowa kropka nad „i”. Ten zespół źródeł, którego zasadnicze zręby wskazałem, nie był dotknięty skazą celów politycznych. On, jako jedyny spośród innych, ma szansę być zespołem źródeł w pełni wiarygodnym. W tym zespole powinna się także znaleźć dokumentacja obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, gdyby została odnaleziona, a także wyniki (dokumentacja) kryminalistycznej eksploracji lasu katyńskiego, do której należy doprowadzić obecnie.

W tym miejscu, kilka choćby zdań poświęcić należy Technicznej Komisji Polskiego Czerwonego Krzyża, która przez kilka tygodni wykonała w Katyniu pracę zasługującą na najwyższe uznanie. Władze tej organizacji zdawały sobie sprawę z tego, że włączenie się do prac prowadzonych przez Niemców w Katyniu, niezależnie od faktycznych motywów, zostanie wykorzystane przez niemiecką propagandę. Czy wobec tego należało się do tych prac włączyć? Czy należało podjąć próbę udokumentowania, także na użytek Polski i Polaków, głównie rodzin oficerów, wszystkich co się da udokumentować, w warunkach nadzoru niemieckiego? Czy wreszcie należało podjąć próbę ludzkiego pochówku zwłok tysięcy oficerów polskich, zamordowanych w sposób wyjątkowo okrutny? Decyzja była niezwykle trudna. Dlatego właśnie dzisiaj należy wyrazić uznanie Polakom Czerwonego Krzyża za odwagę jej podjęcia, a dzięki serdecznej za ogromny trud, za tytaniczną wprost pracę, tam na miejscu zbrodni, w Katyniu. Praca przy mogiłach codziennie od 8—18, pod stałym nadzorem Niemców, wśród tysięcy rozkładających się zwłok. Dzień w dzień, przez 5 tygodni. Rezultatem pracy tej komisji były nie tylko dokumenty, które wymieniałem. Było nim także sześć bratnich mogił — jak je określali członkowie komisji — numerowanych od I—VI. Dla każdej mogiły sporządzony był spis oficerów w niej spoczywających. Te właśnie spisy nie zostały dotąd odnalezione.

Wszystkie okoliczności odnoszące się do pracy w Katyniu Komisji Technicznej PCK, muszą być także uwzględniane przy ocenie wiarygodności i wartości dowodowej polskiego zespołu źródeł.

POSTULATY:

Mówiąc o zespołach źródeł w sprawie katyńskiej mam wyłącznie na myśli te dokumenty, które odnoszą się wprost do zbrodni i związane są z odnalezieniem mogił, przeprowadzeniem oględzin i sekcji zwłok, wszelkie dowody pochodzące od jeńców wojennych pogrzebanych w grobach masowych i odnoszące się do ofiar zbrodni oraz relacje świadków, z tym jednak zastrzeżeniem, które uczyniłem wcześniej. Relacja prof. S. Swianiewicza jest wśród tych dowodów świadectwem zupełnie wyjątkowym. Nie zaliczam, przy tak uczynionym założeniu, do zespołów źródeł dokumentacji działań dyplomatycznych, opracowań, także publicystycznych i relacji, choć i one zawierają wiele cennych informacji.

Tak rozumiane zespoły źródeł, powinny być poddane szczegółowej merytorycznej ocenie, przez wysokiej klasy specjalistów polskich i radzieckich, głównie z zakresu medycyny sądowej i kryminalistyki. Dopiero po takiej weryfikacji rzetelności zawartych w nich informacji, będą one mogły stanowić w pełni wartościowy materiał dla historyków. Z wypowiedzi Cz. Madańczyka w „Miesięczniku Literackim” (11/88) dowiadujemy się wprawdzie, że ekspertyza w sprawie katyńskiej została już opracowana przez zespół polski (komisja wspólna polsko-radziecka), a także, że „jeśli zostanie kiedyś opublikowana, będzie dobrym świadectwem naukowej kompetencji autorów”. Nie wiem, czy nim będzie, jeżeli nie przywołano do jej opracowania, oprócz historyków, przedstawicieli nauki reprezentujących wskazane specjalności. Badanie zbrodni katyńskiej bowiem, by było kompetentne, bez medyków sądowych i kryminalistów, obydwoje się nie może. A zgodzić się trzeba z K. Sobczakiem, uczestnikiem tej dyskusji, że: „Sprawa Katynia wśród tych problemów (białych plam — T.S.) jest sprawą najważniejszą, więcej, stanowi ona swoisty papierak lakmusowy w całej pracy komisji wspólnej. Ostatecznego wyjaśnienia tej niezwykle złożonej sprawy oczekuje od nas całe społeczeństwo”.

Mówiąc w tej dyskusji o masowej zbrodni w Katyniu, J. Maciszewski stwierdził m.in.: „w tej całej sprawie zbyt wiele jest hipotez z uwagi na brak materiału źródłowego. Materiał wtórny nie może go w pełni zastąpić...”

Z kontekstu wynika, że chodziło o dokumenty, dotąd niedostępne, które być może znajdują się w archiwach ZSRR. Być może, bo czy w ogóle zostały stworzone? Byłoby, oczywiście, najprościej, gdyby ZSRR odnalazł i ujawnił np. polecenie (rozkaz) Stalina, Berii czy Mierkułowa dot. likwidacji jeńców polskich, a więc biologicznego unicestwienia oficerów polskich przetrzymywanych przez Związek Radziecki od 17 września 1939 r. Czy jednak takie dokumenty w ogóle zostały stworzone? Hitler np. w marcu 1944 r. w Berchtesgaden wydał ustnie rozkaz rozstrzelania oficerów RAF, zbiegłych ze Stalagu Luft III w Żaganiu...

Tak więc czynności dochodzeniowo-śledcze, w szerokim rozumieniu, których podstawę legalności stanowią postanowienia procedur karnych, muszą być prowadzone równolegle, z rozległymi niejednokrotnie, badaniami historycznymi. Bardzo często wyniki jednych warunkują powodzenie drugich. Rozpatrywane dzisiaj zbrodnie masowe, popełnione w czasach II wojny światowej, są ponadto zdarzeniami odległymi w czasie, co oczywiście utrudnia proces ich wykrywania i dokumentowania. Czy więc wykrywanie tych zbrodni i ich dokumentowanie, w kilkadziesiąt lat od daty popełnienia, jest w ogóle możliwe? Oczywiście, pod warunkiem stosowania w szerokim zakresie także taktyki i techniki kryminalistycznej. Kryminalistyka zajmuje się m.in. wykrywaniem i zabezpieczaniem źródeł informacyjnych, które mogą stać się środkami dowodowymi.

Ciąg dalszy na str. 4

KATYŃ

ciąg dalszy ze str. 3

Opowiedziałem się już za potrzebą eksploracji lasu katyńskiego. Istnieje taka potrzeba z wielu powodów. Przyczyną jest w porządku, który mnie wydał się właściwy. Po pierwsze, istnieje konieczność wyjęcia zwłok jeńców, oficerów polskich z mogiły ósmej i ludzkiego ich pochowania, w nowej mogile, na godny spoczynek. Jakkolwiek by patrzeć na te zbrodnie, tej postęgu nie wolno odmówić. Nie wolno jej odmówić także rodzinom oraz nam wszystkim. Wiele wskazuje na to, że las katyński był miejscem kaźni nie tylko oficerów polskich, ale także, a może przede wszystkim, obywateli ZSRR i to przez długie lata. Czyż i im nie należy się miejsce godnego spoczynku? Czy wystarczy dla spełnienia ich serdecznej pamięci pomordowanym, postawienie krzyża, obeliska czy nawet mauzoleum?

Po drugie, zachodzi potrzeba, po otworzeniu mogiły 8, przeprowadzenia szczegółowych czynności dokumentacyjnych miejsca pochówku, a głównie zwłok jeńców. Byli oni umurowani, posiadali przy sobie przeróżne przedmioty, notesy, w których zapisywali informacje dla nich ważne. Są to źródła informacyjne, które odpowiednio zabezpieczone, niejedną wątpliwość mogą wyjaśnić. Strupiejące nawet zwłoki, to niezwykle cenne źródło informacji o ich wieku, o wzroście, o przynależności etnicznej, o przyczynie i dacie zgonu itp.

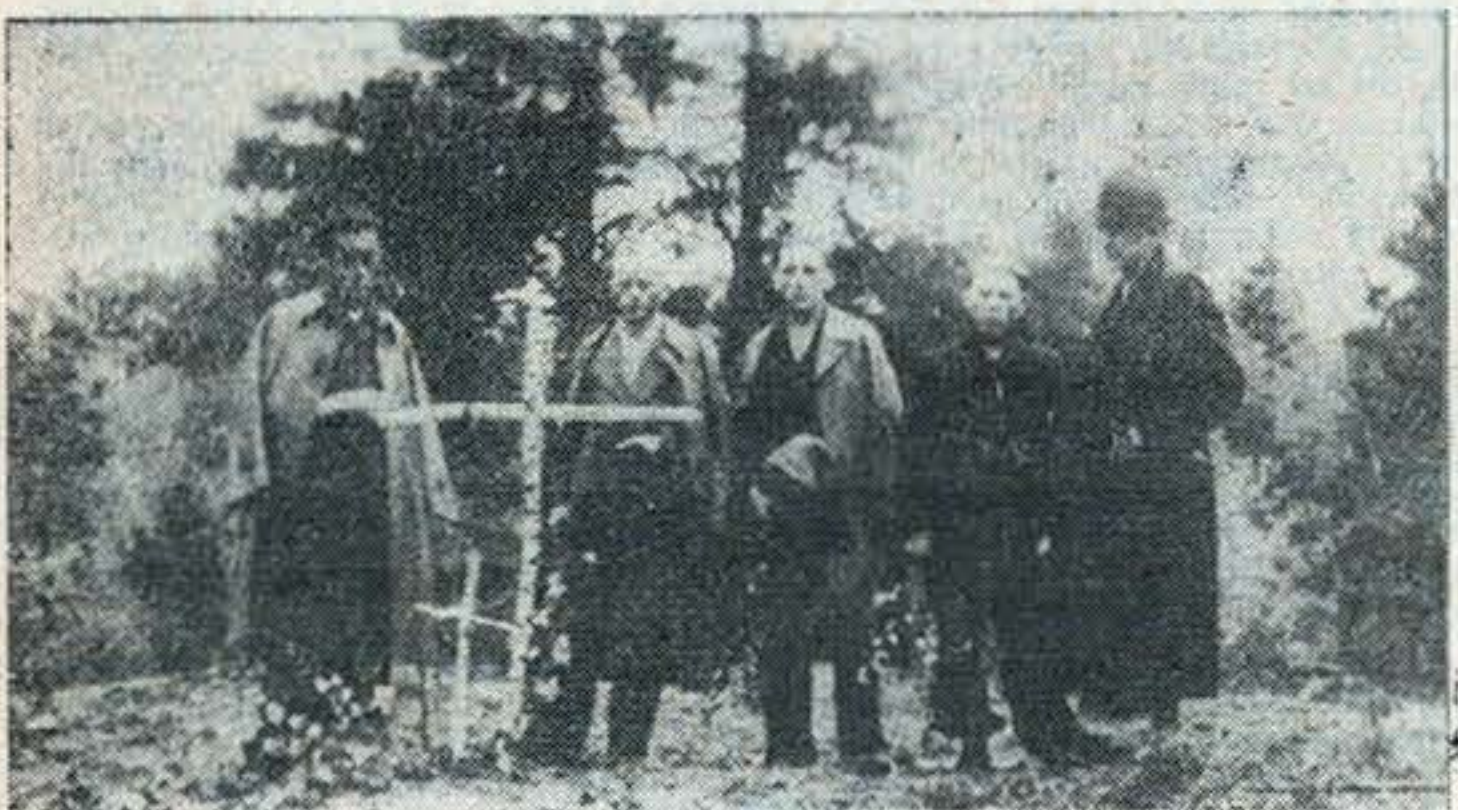
Las katyński, to jest właśnie bezpośrednie źródło, z którego nie było nam dane dotąd korzystać. Tylko ono może dzisiaj odpowiedzieć na pytanie, czy leżą w Katyniu także poszukiwani do dzisiaj oficerowie ze Starobielska i Ostaszkowa. Zwłoki jednego jeńca ze Starobielska zostały w Katyniu ujawnione. Już ten fakt czyni tę tezę, prawdopodobną. Nie ma w każdym razie żadnych racjonalnych przesłanek, by ją apriori odrzucać. A przecież o mogile ósmej wiemy nie tylko gdzie została zlokalizowana, ale także, iż zawiera kilkadziesiąt zwłok jeńców wojennych oficerów polskich, które nie zostały poddane oględzinom ani w kwietniu 1943 r., ani w styczniu 1944 r. Można w archiwach NKWD, nawet gdyby zostały otwarte, nie doszukać się kombriga Zarubina, postaci sympatycznie zresztą przedstawionej przez S. Swianiewicza, ale nie można w lesie katyńskim nie zlokalizować ponownie mogiły 8.

Przy tych czynnościach, bez kryminalistów i medyków sądowych, obyć się jednak nie będzie można.

Na początku czerwca 1988 r. prof. Afanasjew, w radzieckiej audycji radiowej stwierdził, iż za zbrodnię katyńską odpowiedzialny jest Stalin. W wywiadzie dla „Le Figaro” w dniu 10 czerwca 1988 r. radziecki pisarz i historyk Natan Ejdelman stwierdził, iż winę za zbrodnię katyńską ponosi Stalin i organa jego służb wewnętrznych.

Wskazane wyżej cechy swoiste zbrodni masowych, sformułowane zostały na gruncie kryminalistyki w latach siedemdziesiątych. Twierdzą, że mają one walor uniwersalności.

TADEUSZ SOJKA



P.S. W 1942 r. na stacji kolejowej Gniezdowo (w pobliżu Katynia), 15 km od Smoleńska, zatrudnieni byli robotnicy polscy, którzy po uzyskaniu od miejscowej ludności informacji o masowych mogiłach w lesie katyńskim jeńców wojennych Polaków, zlokalizowali pierwsze z nich i postawili tam dwa brzoźowe krzyże. Fakt ten znany jest powszechnie. Nieznani są jednak do dzisiaj owi robotnicy. Publikowane po raz pierwszy zdjęcie przedstawia 5 mężczyzn, prawdopodobnie właśnie tych Polaków, którzy pierwsi odkryli masowe mogiły w Katyniu. Prawdopodobnie żaden z nich już nie żyje. Prawdopodobnie pierwszy z prawej strony nazywał się Stanisław Rzepka i pochodził z okolic Leszna. By wyjaśnić te wątpliwości, zwracamy się do Czytelników z prośbą o przekazanie ewentualnych informacji, o przedstawionych na zdjęciu osobach, na adres redakcji „Nadodrze”.

Od redakcji: na tym kończymy druk fragmentów obszernego szkicu „Tragedii wspólnej akt trzeci” dr Tadeusza Sojki, autora m.in. prac o zbrodniach hitlerowskich popełnionych na jeńcach alianckich w Zaganiu.



Szanowna
Redakcjo!

Na marginesie pierwszej części szkicu Tadeusza Sojki o Katyniu warto zwrócić uwagę, że:

1. Podstawową pracę na ten temat stanowi „Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów”, wydana po raz pierwszy w maju 1948 roku, która doczekała się już 10 wydań w języku polskim (oraz m.in. w języku francuskim, hiszpańskim, angielskim i włoskim). Dziś czerpią z niej pełnymi garściami liczni autorzy, nie zawsze wskazując źródło.
2. Listę zaginionych w ZSRR oficerów polskich 40 lat przed tygodnikiem „Zorza” opublikował londyński „Gryf”.
3. „Rewelacyjność” odkrycia prof. Kowalskiego (chodzi o „Raport z Katynia” K. Skarżynskiego) jest dosyć wątpliwa. Wg niektórych autorów (np. „Niedziela” z 5.03.89) dokument ten przekazany został oficjalnie władzom polskim już w 1946 roku i jest powszechnie znany na Zachodzie.
4. Katyń oznacza zbrodnię masową, popełnioną na ok. 4.300 jeńcach wojennych Polakach. Do liczby 4143 zwłok ekshumowanych należy bowiem doliczyć zwłoki w tzw. „mogile 8” (o której zresztą autor wspomina). Dla porównania — w Kozielsku przeżywało ok. 4500 jeńców, z których ok. 200 przewieziono do Griażowa, gdzie odnaleziono ich (żwyrów) w 1941 roku.
5. Tzw. Komisja Maddena powołana została przez Kongres USA nie w 1952 roku, lecz 18 września 1951 roku. Przesłuchania świadków rozpoczęły się 11 października 1951 r.

Z wyrazami szacunku
Edward Mincer
Zielona Góra

ciąg dalszy ze str. 3

nie go nie trzymało, lecz i nie nie wypędzało. A może, dopiero teraz rozważa, już wtedy górę brała w nim pasja historyka? Może już wtedy podjął decyzję o potrzebie spisania prawdziwej historii stosunków polsko-ukraińskich w Galicji Wschodniej?

Przeniósł się do Stanisławowa, został asystentem w Katedrze Historii Partii filii politechniki lwowskiej, doszedł do godności doktora nauk historycznych. Pisał i ogłaszał swoje publikacje na tyle rozsławiając, że zaproszono go do Instytutu Historii w Kijowie. W 1967 roku obronił dysertację pt. „Działalność parlamentarna Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy w latach 1922—27”. Gdy wrócił do Stanisławowa, filii politechniki przemieniono w Instytut Nafty i Gazu, a on został dziekanem wydziału ogólnotechnicznego i doцентem. Potem był pierwszym sekretarzem uczelnianej organizacji partyjnej, co w warunkach ukraińskiej uczelni dawało mu władzę momentami większą niż rektorowi. Właściwie do niego należało ostatnie słowo, a że był, jak twierdzi, człowiekiem sprawiedliwym, uczciwym, oceniającym ludzi na podstawie ich rzeczywistych dokonań, często dochodziło do spięć z magnificencją. Nie na te nauki.

Rektor był szubrawcem, utworzył taką mafię i czuł się bezkarny, że dłużej nie mógł czekać. Powiedziałem mu: pan bierze łapówki przy egzaminach wstępnych. Pan nadużywa swojej władzy. Przyszedł do mnie robotnicy i skarżył się, że w pana mieszkaniu wieczorami jest za głośno. Zbyt mnie ordynarnie. To napisałem list do Mo-

ra Wasińskiego, został przyjęty z otwartymi rękami. Przez rok po rosyjsku wykładali historię Rosji i ZSRR na rusyjskiej i historii narodów Związku Radzieckiego na historii. Potem przeszedł do Instytutu Historii, by w 1981 roku zostać kierownikiem Samodzielnego Zakładu Filologii Rosyjskiej. Po dwu latach wrócił do Instytutu Historii i został kierownikiem Zakładu Historii Polskiej i Powszechnej XIX i XX wieku. W 1987 roku został docentem w Katedrze Filologii Rosyjskiej i wykładowcą historii Rosji oraz wiedzy o Związku Radzieckim. Te funkcje zajmował przed przejściem na urlop zdrowotny.

Powiada, że nigdy nie miał ambicji pełnienia wysokich godności akademickich, interesowała go praca naukowa i pedagogika. W obu dziedzinach odnosił sukcesy, tak mu się wydawało. Na początku trudnych lat osiemdziesiątych nie zamykał się w gabinecie, nie nabierał wody w usta, przeciwnie, rozmawiał i dyskutował ze studentami. Nie wierzę, może spytać jego wychowanków, często polemizuje z nimi i nadal służy radą.

Rozprawę doktorską wydał w oficynie uczelnianej. Potem napisał książkę pt. „Spór o taktikę. Komunistyczna Partia Galicji Wschodniej wobec wyborów do Sejmu i Senatu w listopadzie 1922 r.”.

Gdyby nie interwencja profesora Topolskiego, moja praca nigdy by się nie ukazała. Koledzy pytali, dlaczego zajmuję się Ukrainą, a nie inną na cję, godniejszą polskiej nauki. Ktoś na wet powiedział, że jestem niespełna rozumu, bo Ukraińcy zabili mojego ojca, a ja stawiam im pomniki. Tłumaczyłem, iż nie o pomniki chodzi, lecz o prawdę historyczną. Zależało mi na ukazaniu polityki prowadzonej przez burżuazję państwa polskie na ziemiach Galicji Wschodniej. Historyk nie może

de dziecko wie, że nastąpiło to w nocy z 17 na 18 września”.

W 1988 roku ukazała się książka A. Czubińskiego pt. „Revolucja Październikowa w Rosji i ruchy rewolucyjne w Europie lat 1917—1921”. T. Biernacki uważa, że poznański autor zniekształcił niektóre wydarzenia historyczne. W wielu miejscach podaje fakty nieprawdziwe, np. A. Czubiński pisze, że na II Ogólnorosyjskim Zjeździe Rad „wybrano nowy Ogólnorosyjski Centralny Komitet Wykonawczy Rad z J. Swierdłowa na czele”. Zdaniem T. Biernackiego, wybrano L. Kamieniewa, a dopiero potem na jego miejsce J. Swierdłowa. Kwestionuje niektóre myśli profesora, powołując się na literaturę radziecką i publikacje autorów polskich. Zarzuca mu nawet „niski poziom wiedzy historycznej w tych dziedzinach”.

Na jego list odpowiedziała Akademia Nauk Ukrainy, tłumacząc, że autorem hasła w siódmym tomie „Historii Ukrainy SRR” był uczeń lwowski. Kto ma rację, nie powiedziano, ale zaproszono T. Biernacka do Kijowa na rozmowy. Macierzysta uczelnia, WSP, nie wyraża zgody na wyjazd, zastanawiając się brakiem pieniędzy. Więc pojechał na własny koszt, za osiem tysięcy złotych, bo tylko tyle kosztował bilet. Jest przekonany, że w następnym wydaniu „Historii...” hasło dotyczące września 1939 roku zostanie poprawione zgodnie z prawdą historyczną.

Nigdy nie zamierzałem zdobywać stopni naukowych. Za istotniejsze uważałem prowadzenie działalności badawczej i wychowawczej. Gdyby stopnie odziedziczyli poziom wiedzy człowieka, może bym się skusił o nie walczyć. Szkoda mi było czasu, a ponadto zdawałem sobie sprawę z tego, że to dość długa i skomplikowana droga. Moja zna-

NICZEGO SIĘ NIE NAUCZYŁ?

uciekać od tematów trudnych, nie wolno mu fałszować przeszłości, ale i nie jest sędzią. Do niego należy wyciągać wnioski.

Wszystkie swoje publikacje opierał o materiały archiwalne zgromadzone w Charkowie, Kijowie, Lwowie, Moskwie, korzystał z dotychczasowych polskich publikacji, interesował się dokonaniami uznanych i szanowanych historyków Polski, Ukrainy i Rosji.

Przeanalizował podręczniki historii dla uczniów i ich nauczycieli. Twierdził, że jest w nich mnóstwo błędów i zniekształceń. Autor podaje: „Socjalizm to władza radziecka plus elektryfikacja. W myśl tej zasady Rada Komisarzy Ludowych zatwierdziła plan elektryfikacji Rosji”. Biernacki tłumaczy, że zasada Lenina brzmi nieco inaczej — „Komunizm — to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju, a plan elektryfikacji przyjęła nie Rada Komisarzy Ludowych, lecz VIII Ogólnorosyjski Zjazd Rad, który odbył się w grudniu 1920 roku”. Pisząc o pierwszej pięciolatkę w Rosji Radzieckiej autor wymienia zakłady aluminium w Dniepropetrowsku. Biernacki przekonuje, że takiego miasta nie było, był Dniepropietrowsk. Odnalazł błędne zaznaczenie niektórych miejscowości na mapce, pomylenie faktów i dat. Traktat brzeski podpisał nie w „lutym 1918 r.”, lecz 3 marca 1918 r. Zamach ukraińskiego studenta Stepana Fedaka na Józefa Piłsudskiego miał miejsce 25 września 1921 r., a nie we wrześniu 1920 r. Swoje uwagi o podręcznikach zawarł na kilkunastu stronach maszynopisu. Nikt mu nie odpowiedział.

Potem skierował listy do biur politycznych komitetów centralnych PZPR, KPZR i KP Ukrainy. Napisał w nich o potrzebie prawidłowego naświetlania stosunków polsko-radzieckich i polsko-ukraińskich w latach międzywojennych. Stwierdził, że w większości prac polskich „nie pisze się o tym, jak wyglądała rzeczywistość w Galicji Wschodniej, na Wołyniu i w innych regionach. Cel takiej wybiórczej pisaniny jest jasny: utrwalenie w świadomości społeczeństwa polskiego stereotyp Ukrainca — rezuna, banderowca, nędznika spod znaku tryzubra, który, niewdzięczny, zwalczał „liberalne” rządy polskie oraz mordował swoich dobrodziejów, niepomny tego, że przecież Lechici oświecili go, podnieśli Rusinów — dzikusów do poziomu zachodniej cywilizacji i włączyli w orbitę błogosławieństwa papieskich”. Dodał, że bez historii Galicji Wschodniej, Wołynia i innych ziem nikt nie napisze naukowej historii II Rzeczypospolitej.

Zauważył, że gdyby historycy polscy czytali czasopisma ukraińskie, obrazili by się na profesora Oleksiuka, który w 1970 r. stwierdził: „Okupowane przez wojska burżuazji-obszarniczej Polski ziemie zachodnioukraińskie w 20—30 latach przeżywały najstraszniejsze dni swej klęski”. Spytał, czy lata okupacji hitlerowskiej nie były straszniejsze dla Ukraińców.

W tomie VII „Historii Ukrainy SRR”, Kijów 1984 r., docent Biernacki wyczytał: „16 września 1939 r. prezydent I. Mościcki, wódz naczelny armii polskiej E. Rydz-Śmigły oraz członkowie rządu, zabrawszy walory państwowe i rezerwy złota, uciekli do Rumunii”. Błędna jest data, jak i informacja o walorach, które przecież zostały wywiezione w wagonach przez Śniatych. To stwierdzenie autorów ukraińskich wykipił w późniejszej swojej rozprawie habilitacyjnej, lecz recenzent nie zauważył jego oburzenia, zaznaczając, iż „każ-

dość języka polskiego jest daleka od doskonałości. Mimo to uległem namowom kolegów i postanowiłem napisać rozprawę habilitacyjną. Ze Stanisławowa przywiozłem pokaźny zbiór dokumentów, których nie ma w archiwach polskich. Poprosiłem profesora Topolskiego z Poznania, by był opiekunem mojej habilitacji. Kiedy napisałem pracę „Nad Prutem i Czeremoszem. Ruch rewolucyjny na Pokuciu w latach 1917—1938”, rzecz o działalności okręgowej kolonijalnej organizacji Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, 400 stron maszynopisu, okazało się, że są problemy z wyborem recenzentów. O bliskich moim zainteresowaniom sprawach dotąd ukazała się książka Janusza Radziewskiego, artykuł w czasopiśmie „Z Pola Walki” i moje dwie wcześniejsze publikacje w wydawnictwie WSP. W kilku innych rozprawach mówił się o organizacji kolonijalnej, ale na marginesie innych zagadnień. Szerszych opracowań nie ma nawet na Ukrainie. Wynika to między innymi z tego, że polscy uczeni mają utrudniony dostęp do archiwów radzieckich.

Jednym z warunków przystąpienia do kolokwium habilitacyjnego jest wydanie rozprawy drukiem. Rada Wydawnicza WSP poprosiła więc, by T. Biernacki uzyskał pozytywne opinie o swojej pracy.

Pierwszy recenzent, prof. Antoni Czubiński, napisał: „(...) w moim przekonaniu praca T. Biernacka w obecnej postaci nie spełnia wymogów stawianych rozprawom naukowym i nie powinna być ogłoszona drukiem. (...) Autor winien nad nią jeszcze nieco popracować”.

Drugi recenzent, doc. Andrzej Andrusiewicz, uznał, że „Całość opracowania wywołuje wrażenia mieszane. Należy żywić nadzieję, że po wprowadzeniu niezbędnych korekt w ujęciu tematu, jego konstrukcji oraz po dokonaniu postulatowanych przez mnie poprawek merytorycznych, językowych, gramatycznych, książka może być wydana. Wymaga ona jednak bardzo starannego opracowania redakcyjnego”.

Trzeci recenzent, prof. Jerzy Ochmański, stwierdził: „Postulując druk rozprawy dr Tadeusza Biernacka w pierwszym rzędzie z uwagi na zawarty w niej bogaty materiał źródłowy do historii Polski i Ukrainy, a następnie z uwagi na to, że jest to rzadka w naszej historiografii monografia ruchu rewolucyjnego w jednym mikroregionie, przypominę o potrzebie dołączenia do niej mapki oraz indeksów”.

Mimo to rozprawa nie została skierowana do druku. Docent Biernacki przestał zabiegać o jej wydanie, pogodził się z losem, co nie znaczy, że pogodził się z kolegami wchodzącymi w skład Rady Wydawniczej. Za dwa lata przejdzie na emeryturę, może któreś z wydawnictw państwowych zainteresuje się jego badaniami, wszak wyjaśnianie „białych plam” dopiero się zaczęło.

Nikogo nie oskarżam o brak dobrej woli. Mam satysfakcję, ponieważ pisałem prawdę historyczną, która na pewno ujrzy światło dzienne. Kiedyś koledzy przyznają mi rację. A będzie to wówczas, gdy nauka zajmie się nowe pokolenie historyków, które zajrzy do innych źródeł. Ciągłe mamy do czynienia z grupą historyków o poglądach endeckich. Oni, gdyby tylko mieli więcej odwagi, domagałoby się rewizji Jalt. Swoim studentom przekazują niepełną wiedzę o stosunkach polsko-radzieckich. To, co się ostatnio wydarzyło w Krakowie, tylko potwierdza moje spostrzeżenie.

ALFRED SIATECKI

próby prowadzenia młodego zawodnika przez opiekunów kadry, którzy przedawali mu liczbę wyczerpujących startów. Dla fachowców było jednak jasne, że pojawił się godny uwagi talent.

POWRÓT NA SZOSĘ

Prokopyszyn był zdania, że juniora przygoda z kolarstwem prześladowała na razie mu wystarczy, a jeździć powinien przede wszystkim w wyścigach szosowych, zaś do przejazdów zawsze zdąży wrócić. Opracował plan szkoleniowy, zmierzający do wszechstronnego rozwijania zdolności młodego Sprucha. Doświadczony trener wiedział, że doskonale trzeba zwracać to, co Zbyszek potrafi najlepiej, czyli sprinterski finisz. Stąd też wypadły na tor kolarski, choć w klubie nie było (i — nota bene — do dziś nie ma) specjalistycznych rowerów torowych. W światku kolarskim jak anegdota opowiada się, jak to Prokopyszyn przywiózł swoich chłopaków na mistrzostwa Polski juniorów na tor w Kaliszu. Zbyszek wystartował na „muzealnym” rowerze ojca sprzed dwudziestu lat, który tak się miał do nowoczesnych rowerów rywali, jak — nie przymierzając — pocztowa „Syrenka” do „Mercedesa”. Fachowcy przecierali oczy ze zdumienia, gdy młody Spruch na tym „zabytku” zaczął kolejno eliminować konkurentów, od lat trenujących w sekcjach kolarstwa torowego. Zajęcie 11 miejsca przez zielonogórzanina, który bodaj drugi raz w życiu ścigał się na torze, było zaskoczeniem. Jego nazwisko już wtedy trafiło do kilku notesów...

Dla wtajemniczonych stawało się jasne, że Zbyszek ma szansę spełnić marzenia ojca i trenera. Błyszczał w licznych wyścigach krajowych i międzynarodowych. Kiedy zbliżał się dla niego czas służby wojskowej, nie był już zawodnikiem zupełnie nieznanym. Chyba tylko dla kibiców od święta interesujących się sportem.

DO WOJA MARSZ...

Nikogo nie trzeba zbytnio przekonywać, co to znaczy dwuletnia przerwa w uprawianiu sportu na wysokim poziomie. Po takiej pauzie, w obecnych czasach powrót do wyczynu jest praktycznie niemożliwy. Ostatni raz taki przypadek zdarzył się Ryszardowi Szurkowi, który dopiero po wojsku w zwykłej służbie, przebojem wdarł się na wyżyny. Trener Prokopyszyn zaczął więc zabiegać, by Zbyszek mógł odbywać służbę trenując w jednej z sekcji kolarskich klubów wojskowych. W tym czasie najwyższą notowaną była sekcja warszawska „Legii”, co zresztą do tej pory się nie zmienia. Także trener CWKS, zmarły niedawno Andrzej Trochanowski był zainteresowany przyjściem Sprucha do stolicy. Nie bez kozery twierdził się, że sekcja „Legii” jest znakomitą szkołą kolarstwa, przez którą przeszło wielu znakomych zawodników.

Dziś trudno dociec, a i potrzeby takiej już nie ma, dlaczego utalentowany Zbyszek Spruch dopiero okólną drogą trafił do „Legii”. Fakt jest, że znalazł się w liniowej jednostce wojskowej, bez możliwości kontynuowania treningu sportowego. Wszelkie starania

działaczy, trenera, rodziny speliły na niczym. Mijały miesiące, w sumie pół roku, a Zbyszek był bliżej poligonu, niż peletonu. Nie chodziło wcale o to, by zdolny kolarz nie odbywał służby, lecz by mógł jej pełnienie pogodzić ze sportem. Wtedy to zdesperowani rodzice na pisali wspomniany list do generała Jazuzelskiego...

EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI KOLARSKIEJ

Zbyszek Spruch, gdy tylko zameldował się w „Legii”, wiedział, że stanął przed życiową szansą. Znalazł się wśród znakomych kolarzy i tylko własną pracą i wynikami mógł zdobyć ich przychyłność. Początkowo, co jest zupełnie naturalne nie tylko w sporcie, musiał

Prokopyszyn: „Każdy, chciałbym, żeby Zbyszek u nas został, ale nie będę dążył do tego wbrew twojej i jego woli”. Trudno się dziwić, że Prokopyszyn wolał, by jego wychowanek wrócił do Zielonej Góry. Wiele lat pracował, by doczekać się kolarza o którym coraz częściej mówiono, że wkrótce będzie „etadowym” reprezentantem Polski. Najgorzej, po ludzku, żał mu było własnej, ciężkiej pracy. Szkoleniowiec „Legii” nie upierał się.

Teraz jednak najważniejsze zależało od samego kolarza. Zbyszek zdecydował, że wraca do zielonogórskiej „Trasy”. Prosił tylko o zapewnienie mu warunków, umożliwiających utrzymanie się w czołówce i doskonałemu umiętności. Szło wyłącznie o sprawy — nazwijmy je —

głowie kuszającymi propozycjami, faktem jednak jest, że kolarz pozostał.

WRASTANIE W RODZINNY PEJZAŻ

Od chwili powrotu z wojska, a wrócił do „Trasy” jako członek kadry przygotowującej się do ubiegłorocznego Wyścigu Pokoju, ze Zbyszkiem nie było najmniejszych kłopotów. Jest to niezwykle skromny człowiek, znajdujący pełne zrozumienie z trenerem Prokopyszynem i kolegami klubowymi, dla których sympatyczne jest, że znany już zawodnik chętnie z nimi wspólnie trenuje i startuje, na każdym kroku doradzając i pomagając. Coraz mocniej też Spruch wrastał w rodzinne strony. W październiku ubr. poślubił uroczą Alinę, z którą wychowywał się niemal na jed-

ników kolarstwa w całym kraju, a tak że za granicą.

Pan Jerzy Spruch, a także trener Prokopyszyn myślą również o pozasportowej przyszłości kolarza. Zbyszek ukończył szkołę zawodową i ma zawód mechanika samochodowego. Dobrze byłoby jednak, żeby kształcił się dalej. Były próby umożliwienia kolarzowi zdobywania wiedzy w technikum indywidualnym tokiem nauczania. Myślę, że warto ambitnemu sportowcowi pomóc i w tej sprawie, wszak na uprawianiu kolarstwa jego życie się nie skończy.

Trener Prokopyszyn poproszony o możliwie najkrótszą charakterystykę

Kolarz z urodzenia

w wyścigach pracować na bardziej znanych kolegów i robić to bez szemrania. Z czasem zyskał taką pozycję w grupie, że coraz częściej pomagano w czasie wyścigu jemu. W „Legii” Spruch zdał swój kolarski egzamin dojrzałości. Odniósł w tym czasie sporo sukcesów indywidualnych i wspólnie z kolegami. Został mistrzem Polski w wyścigu dystansowym na torze w Radomiu, z zespołem „Legii” wicemistrzem kraju w wyścigu drużynowym na szosie na dystansie 100 km, w tej samej specjalności w barwach reprezentacji Wojska Polskiego wywalczył srebrny medal Spartakiady Armii Zaprzyjaźnionych na

socjalno-bytowe. By nie było jednak nie domówień, od razu powiem, że nie chodziło o jakieś nadzwyczajne, wygórowane żądania. Utalentowany kolarz pragnął tylko przytulnego mieszkania, bo w rodzinnym domu, do którego zawsze wracał najchętniej, jest po prostu za ciasno. I to był właściwie największy „warunek”. Inne sprawy, niezbędne do załatwienia dla sportowca wysokiej klasy, były łatwiejsze. Przede wszystkim jednak pragnął wrócić w rodzinne strony, z którymi czuje się mocno związany. Podczas spotkania z przedstawicielami władz wojewódzkich, zawodnik ka zapewniono, że te wcale nie wygó-



Zbyszek kontynuuje tradycje rodzinne. Niegdyś tata — pan Jerzy Spruch (na pierwszym planie, stoi bokiem) też był dobrym kolarzem.

olimpijskiej trasie w Moskwie. Lista sukcesów jest długa.

Kiedy w „Legii” przekonano się, kogo mają, nie ukrywano, że warszawski klub byłby Spruchem zainteresowany także po wyjściu zawodnika do cywila. Trener Trochanowski, szkoleniowiec bardzo uczciwy, powiedział wówczas do

rowane warunki zostaną spełnione i prosił, by kolarz poinformował o swojej decyzji w ciągu tygodnia czy dwóch. Zbyszek, gdy usłyszał owe zapewnienia, uznał, że ma do czynienia z dżentelmenami i momentalnie odpowiedział: „Zostaję w Zielonej Górze”.

Wprawdzie przedstawiciele kilku klubów próbowali Spruchowi zabełtać w



Młody Zbyszek (u dołu po prawej) na zabawie choinkowej w zakładzie pracy swego taty.

nym podwórku w podzielonogórskiej Zawadzie, gdzie Spruchowie mieszkają od 1971 r. Po ożenku pilniejszą sprawą stało się własne mieszkanie, a rzecz się nieco przedłużała, wszak w obecnych czasach nie jest to takie proste. Mimo kłopotów problem rozwiązano, a najbardziej przyczynili się do tego czterej ludzie: Zbigniew Niemiński — I sekretarz KW PZPR, Jan Zięta — wicewojewoda zielonogórski, poseł na Sejm Wacław Garbaj oraz wiceprezes Wojewódzkiej Federacji Sportu Marian Rzeźniewski, nie wspominając o biegającym za wszystkimi sprawami swoich zawodników Kazimierz Prokopyszynie. Fakt jest, że Zbyszek Spruch z małżonką posiadają już 2-pokojowe mieszkanie w Zielonej Górze przy ul. Zawadzkiej i właśnie tata — Jerzy Spruch kończy jego urządzanie, wszak syna teraz, w okresie najczęstszych startów, prawie w Zielonej Górze nie ma.

W ubiegłym roku Zbigniew Spruch jako jedyny z Polaków wygrał swój pierwszy etap podczas Wyścigu Pokoju. Kiedy ten tekst wędrował do druku, kolarz zielonogórskiej „Trasy” miał już na koncie sukcesy w tegorocznej imprezie majowej, łącznie ze zwycięstwem etapowym w Łodzi. Tak się pechowo złożyło, że gdy odwiedziłem jego rodzinny dom w Zawadzie, nastroje panowały tam niewesołe. Tuż przed metą etapu z Halle do Berlina Zbyszek miał wypadek i nie było wiadomo, czy i jak będzie mógł jechać dalej. Bez względu na to, już do tego momentu Spruch zdobył sobie uznanie miłoś-

Zbigniewa Sprucha, po krótkim namyśle powiedział tak: „Chłopak zawsze uśmiechnięty. Mimo znacznych sukcesów, bardzo skromny. Podobnie jak w nim sportowa złość, jaką wywołują wszelkie niepowodzenia i która dopinguje go do jeszcze skuteczniejszej jazdy”.

W Zawadzie odczuwa się, że mieszkańcy są dumni ze swego krajana, a nie jest to pierwszy dobry sportowiec, który wywodzi się z tej podzielonogórskiej wsi. W domu Spruchów panuje wyjątkowa atmosfera. Zbyszek ma wielkiego przyjaciela i opiekuna nie tylko w ojcu, ale także w niezwykle wyrozumiałej i troskliwej mamie oraz rodzeństwie. A ma dwie siostry i młodszego brata — Leszka, który też uprawia kolarstwo w barwach „Trasy”. Na odchodnym pan Jerzy mówi: „Zbyszek jest już na trwałe związany z regionem i pragnie zdobywać dla niego kolejne laury”.

Znając Zbyszka, a pamiętam go z szos, gdy zaczynał jako młodzik w lokalnych wyścigach, ten utalentowany kolarz dotrzyma słowa. Oby omijały go tylko pechowe upadki, jak ten na mecie w Berlinie...

KRZYSZTOF HOLYŃSKI

GRAĆ OSTRO

Ciąg dalszy ze str. 1

Jestem przeciwnikiem poddawania się z powodu drobnych głuźstw i drobiazgów. Sportem żużlowym emocjonują się tysiące kibiców w województwie. I to nie tylko w Zielonej Górze. Jest to jedyne sport, który ma masową widownię. Tak nie musi być zawsze. Z powodu braku sprzętu, opon, paliwa, istnieć może realna perspektywa, że zawodnicy tego klubu zmuszeni zostaną do organizowania wyścigów na hulałnogach, które są tanie i być może ogólnie dostępne. Jestem przeciwnikiem cofania się na z góry upatrzone pozycje.

— Zwraca się, że tych z góry upatrzone pozycje może zabraknąć...

— Komu?

— Na przykład kulturze. Likwiduje się placówki. Twórczość podporządkowuje się komercji. Zakup książki, własna biblioteka jest luksusem. To są realne zagrożenia dla kultury.

— Degrengolada inteligencji, wynika jąca z jej położenia materialnego, ale nie tylko, powoduje, że nie jest ona w stanie spełniać wobec całego społeczeństwa, jej tradycyjnego posłannictwa. Odrzuca się to przeciwko samemu społeczeństwu, gdyż w żywotne interesy klasy robotniczej, chłopów. Jednak nie jestem przekonany, czy powrót inteligencji do jej funkcji sprawiał kilkadziesiąt lat, od zyskania autorytetu, czy to wszystko jest możliwe. My wszyscy podlegliśmy zbyt wielkim przeobrażeniom. Nato-

cierpiący na nadmiar środków przeznaczone na merytoryczną działalność kulturalną.

— Zagań ma ogromne potrzeby. Bylibyśmy w stanie, jako „Modernbud” przejąć i utrzymać pałac Talleyrandów. Ziożyliśmy taką propozycję.

— Wspaniale! I co z niej wynikło?

— Zupełnie nic. Zaduma trwa.

— Wie pan, my w NADODRZU, też mamy pewne kłopoty. Deficyt rośnie. Nasz Wydawca nie jest z nas zadowolony. W końcu gotów będzie podjąć decyzje dla nas decyzje.

— Mieć pismo z taką tradycją, tygodnik społeczno-kulturalny, też może być powodem do dumy. Proszę o nas pamiętać w trudnej dla pisma sytuacji.

— Dziękuję. Będziemy pamiętać. Proszę nam jeszcze powiedzieć, dlaczego pan, dyrektor firmy z sukcesami, zadowolony z własnej pracy, pewny swego dyktatorskiego stoika, rzucił się na burzliwe wody polityki, walcząc o poparcie społeczne miejsca w senacie?

— Mogłbym zbyć to pytanie. Powie dzieć, że lubię ostrą grę. A te wybory przecież ostrą grą są. Rzecz jednak nie w emocjach, wynikających z samej walki, choć i tego — przyznaję, nieco jest. Kiedy przyszli do mnie ludzie, koledzy — bliscy współpracownicy i powiedzieli, że widzą mnie w senacie, trudno mi było oświadczyć z taką myślą. W tydzień wyborów uczestniczyłem, ale w żadnych nie było takiej okazji. Wahałem się. Samorząd Robotniczy „Modernbud”, związki zawodowe, te z OPZZ i te nowe „Solidarności” naciskały.

— A pan uległ naciskom. Pozwolił się zniewolić — tak?

— Wybory są testem. Ja również chciałem przeżyć satysfakcję, zmierzyć się w kampanii wyborczej z konkurencją. Wie pan, lubię walczyć. Są sprawy związane z rozwojem gospodarki. Przecież trzeba ją wyprowadzić na czystą wodę. Jako kraj nie możemy sobie pozwolić na kolejne lata pozorowania, na zabijanie czasu szeptką słowną. Wiem, że w działalności legislacyjnej moje doświadczenie wynika z kierowania zespołami ludzkimi, mogą okazać się przydatne. Tak, ja widzę siebie w senacie, jeśli oczywiście znajdą dostateczne poparcie społeczne, jeśli mnie wybiorą.

— Czy pański program wyborczy, to pytanie należy zadać również wszystkim innym kandydatom na posłów i senatorów, nie wydaje się zbyt populistyczny, nawet — demagogiczny? Głosi pan zasadę oczywistą, że za dobrą pracą należy dobrze zapłacić. Pragnie pan bogato zaopatrzonego rynku, pełnego dóbr pozwalających godnie żyć.

— W każdych prawdziwych wyborach a te nasze czerwcowe, zwłaszcza do senatu takie są, zmuszają do walki o głosy wyborcze. Programy wyborcze z konieczności krótkie i lapidarne, są sposobem komunikowania się z wyborcami, swoistym kodem. Moi wyborcy wiedzą, że za moimi hasłami kryje się deklaracja przynależności do nurtu reformatorskiego, idącego na całość w walce o przyszłość kraju, zaś ci, którzy się ze mną stykali, zdają sobie sprawę, że w senacie głos mój będzie donośny.

— Może pan wyjaśnić, co znaczy takie samookreślenie — „niezależny”?

— Do senatu startuję z rekomendacji załogi mojego zakładu pracy. W sensie politycznym, światopoglądowym, załoga,

jak całe społeczeństwo, jest ogromnie zróżnicowana. Reprezentuję pełną paletę barw. Być może, ten i ów z „Modernbudu”, popierając mnie w kampanii wyborczej, widzi w zwycięstwie określony interes, nawet bardzo osobisty. Takie widzenie mojej roli, jako senatora załatwiającego, choć i od tego się nie odłączę, jest wąskie. Musimy nauczyć się myśleć nieresortowo, nielokalnie, nieczęstokroć. Określając się jako niezależny, startując z pozycji autowej, mówię moim wyborcom, że nie popieram ani finansowo, ani też logistycznie żadną partią z bloku PRON-u, ani też żadną siłą z bloku Wałęsy. Jako ewentualny senator będę mógł dokonywać wyboru spośród wszystkich opcji, kierując się zdrowym rozsądkiem a nie własnym interesem kraju.

— Proszę nam zademonstrować swoją niezależność. Co pan myśli o księdzu Hermanie?

— Myślę z sympatią. Jesteśmy uwiecznieni na jednej fotografii. Uważam, że jest to wybitny patriota, mądry człowiek, nowoczesny, wspaniały duszpasterz. Osobowość księdza doktora Hermana przynosi zaszczyt polskiemu duchowieństwu.

— Nie ukrywamy, że chcielibyśmy zobaczyć pańską grę w senacie.

— W czym sprawa? głosujcie na mnie.

— Dziękujemy za rozmowę.

RYSZARD ROWIŃSKI

Zostałam dwukrotnie przesłuchana. Najpierw, kiedy opuszczaliśmy więzienie w Sihala. Potem w więzieniu w Rawalpindi, gdzie zamknęto mego ojca.

— Czy widzimy się po raz ostatni? — zapytał ojciec.

— Myślę, że tak — odpowiedziałam. Mama milczała.

Ojciec zwrócił się do dyrektora więzienia, który stał obok; nigdy nie zostało nam sam na sam z tatą.

— Znajdę dla ciebie cień — udaje mi się wykrztusić.

Strażnicy poganiają nas.

— Do widzenia Papo — wołam przez ły.

Idziemy zakurczonym korytarzem.

— Do zobaczenia — dobiega wołanie ojca.

Moje nogi poruszają się, chociaż ich nie czuję. Cała jestem jak z kamienia. W asyście żołnierzy przechodzimy przez

suficie przynosi niewielką ulgę. Nie ma światła. Każdego dnia brakuje prądu, czasem przez trzy godziny, czasem dłużej. Ktoś z pracowników więzienia mówi o kłopotach w elektrowni. Wiem, że to kłamstwo. Nocą widzę dalsze budynki więzienia, jaskrawo oświetlone.

Cela jest mała i brudna. To, co nazywają „toaletą”, nie posiada spluczek. Unoszą się roje much, żała karaluchy. Z kanału płynącego przez więzienie po dworku dochodzą ohydne wyziewy. Mój kubek do picia wody wypełniony jest martwymi robakami.

Myślę o mamie. Zle wyglądała podczas ostatniego spotkania. Lekarze nie



Benazir Bhutto: — Przysięgam sobie, że do Pakistanu wróci demokracja... Fot. Archiwum

MIŁOŚĆ PRZYJDZIE SAMA

— Proszę mi powiedzieć, czy jest to moje ostatnie spotkanie z rodziną?

Dyrektor miał minę, jakby się wstydział, że reprezentuje wykonawczy organ reżimu.

— Czy ustalono już termin? — nalegał ojciec.

— Jutro rano.

— O której?

— O piętej, zgodnie z przepisami.

— Ile czasu mogę spędzić z rodziną?

— Pół godziny.

— Przepisy zezwalają na godzinę.

— Tylko 30 minut — powtórzył dyrektor — taki jest mój rozkaz.

— Chciałbym potem wziąć kąpiel i ogolić się — powiedział ojciec — świat jest piękny i chcę być czysty, gdy będę go opuszczał. Proszę, by wydał pan odpowiednie polecenia.

Mam więc pół godziny na to, by powiedzieć „żegnaj” człowiekowi, którego kocham najbardziej na świecie. Gwałtowny ból przeszywa moje serce. Nie wolno mi płakać. Nie wolno zalać się i tym samym pogłębić jego cierpienia.

Ojciec siedzi na materacu. To jedyne, co znajduje się w celi. Stół, krzesło, łóżko, wszystko stąd zabrano.

— Weź to ze sobą — podaje mi gazety i książki, które przyniosłam mu wcześniej — nie chcę, by ktokolwiek ich dotykał.

Oddaje też kilka cygar otrzymanych od adwokata.

— Jedno zatrzymam i wypalę dziś wieczorem — mówi.

Zostawia sobie także flakonik ulubionych perfum „Shalimar”. Próbuje ścisnąć z palca sygnet, a matka prosi, by go zostawił.

— Dobrze, ale pamiętaj, że ma go otrzymać Benazir — poleca.

Szeptem, by nie usłyszeli strażnicy, opowiadam o moich próbach zaalarmowania światowej prasy. Twarz ojca się wypogadza. Mam wrażenie, że pomyślał sobie o mnie: no, proszę, ona już się poznała na politycznych trickach!

Światło w celi jest słabe. Nie mogę przyjrzeć się ojcu. Podczas wcześniejszych wizyt pozwalano nam wejść do celi. Tym razem nie. Przyciskamy się z mamą do żelaznych krat.

— Przekaż moją miłość Mir'owi i Shah'owi — mówi ojciec do mamy — powiedz, że starałem się być dobrym ojcem.

Mamie drżą usta.

— Wiele wycierpiełście przeze mnie — kontynuuje ojciec — teraz daję wam wolność. Możecie opuścić Pakistan i urządzić sobie życie w Europie. Macie na to moje pozwolenie.

— Nie wyjadę za granicę i nie porzucę partii, którą ty stworzyłeś — mówi mama.

— A ty, Pinkie? — zwraca się ojciec do mnie używając przyjaźniwego przezwiska.

— Nigdy nie opuszczę Pakistanu — odpowiadam.

Ojciec uśmiecha się.

— Tak się cieszę. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham. Jesteś moim skarbem.

— Koniec wizyty — słyszymy głos dyrektora więzienia.

Uczepiam się krat celi.

— Proszę, otwórzcie! Chcę pożegnać się z ojcem! Chcę go uściskać!

Strażnik spogląda pytająco w stronę dyrektora. Ten zaprzecza ruchem głowy.

— Błagam, to nasze ostatnie spotkanie!

Nie pozwalają. Próbuje dotknąć ojca, wyciągając do niego rękę przez kraty. Jego ręka jest chuda i koścista, jak on sam, wycieńczony i wyniszczony przez choroby, które przeszedł podczas pobytu w więzieniu.

— Dziś w nocy już będę wolny — mówi, a jego twarz rozjaśnia się — połączę się z moją matką i ojcem. Odejdę w przeszłość do Larkany i stanę się jej częścią. Ale w Larkanie jest gorąco...

więzienny dziedziniec. Dookoła wojsko w namioty i pełno ludzi. Poruszam się jak w transie. Nagle myślę o swojej głowie. Muszę ją trzymać wysoko. Muszę iść z podniesioną głową! Oni obserwują mnie!

Samochód czeka po wewnętrznej stronie więziennego muru. Dobrze, że zgro madzone na zewnątrz ludzkie masy nie mogą nas zobaczyć. Jednak kiedy wyjeżdżamy, na samochód napiera tłum, brutalnie odpychany przez policję. Dostrzegam moją przyjaciółkę.

— Yasmin — krzyczę do niej przez okno — oni zabiją go dziś w nocy!

Krzyczę z całych sił, a mimo to nie jestem pewna, czy wydobywam z siebie głos.

Ojca powieszono wczesnym ranem 4 kwietnia 1979 r. w centralnym więzieniu w Rawalpindi. Zamknięta wraz z matką w oddalonym o kilka mil opuszczonym obozie policyjnym w Sihala, w dziwny sposób czułam moment jego śmierci. Mimo tabletki valium, która dała mi mamę, abym mogła tę noc przespać, obudziłam się punktualnie o 2.00.

— Nie! — mój własny krzyk wdarł mi się do mózgu. Nie mogłam oddychać. Był upał, a ja cała trzęsłam się z zimna.

Nie było nic, co mogłybyśmy sobie z mamą powiedzieć, by się wzajemnie pocieszyć. Nie było takich słów. Resztę nocy przesiedziałyśmy przytulone do siebie. Kiedy wstał świt, byliśmy gotowi do odebrania zwłok ojca. Miał być pochowany w rodzinnym grobowcu.

— Nie mogę rozmawiać z ludźmi, którzy nie należą do rodziny, zaczynam „iddat” — powiedziała mama.

„Iddat”, żałoba po zmarłym mężu, trwająca cztery miesiące i dziesięć dni, zabrania kontaktów z obcymi.

— Chcemy odprowadzić prezydenta na cmentarz — mówię do strażnika.

— On został już pochowany — odpowiada.

— Bez udziału rodziny? — pytam z goryczą. — Przecież w tym wojskowym rządzie wiedzą, że religijnym obowiązkiem rodziny jest pochowanie zmarłego, odmówienie modlitwy nad jego grobem i po raz ostatni spojrzenie na jego twarz! Przecież złożyliśmy w tej sprawie prośbę u dyrektora!

— Wszystko przebiegło zgodnie z przepisami — przerywa mi strażnik — oto, co po ojcu zostało.

Podaje mi przyniesione z celi „shalwar khamez” — białe szerokie spodnie i długą koszulę. Jako więzień polityczny ojciec odmówił noszenia tradycyjnego stroju kryminalistów. Daje mi też pojemnik na jedzenie i szklankę. Przez ostatnich dziesięć dni ojciec odmawiał przyjmowania jedzenia.

— Gdzie jest pierścionek?

— To on miał jakiś pierścionek? — dziwi się strażnik, po czym odgrywa przed mną swoisty show. Przeszukuje powoli plastikowy worek, następnie swoje kieszenie. Wreszcie oddaje mi sygnet. Ten sygnet, który tyle razy spadał ojcu z wychudzonych palców.

Półprzytomna stoję przed wartownikiem, trzymając w ręku tobolek z rzeczami tatę. Wciąż nie mogę uwierzyć, że mój ojciec Zulfikar Ali Bhutto, pierwszy wybrany przez naród prezydent Pakistanu, nie żyje. Zamordowany został przez Zia ul-Ha'q'a, szefa armii, który 5 lipca 1977 r. obalił ojca i gwałtem wziął kraj we władzę.

Czuje zapach „Shalimaru”, wydobywający się z zawiniątka. Przytulam je do twarzy. Przypominam sobie Kathleen, córkę Roberta Kennedy'ego, która po zamordowaniu jej ojca długo nosiła jego kurtkę. Studiowałyśmy razem w Radcliffe College. Nasze rodziny często porównywano w świecie politycznym. Teraz mamy nową sprawę, która nas łączy.

Tej nocy i przez wiele następnych noc spędzę z koszulą ojca pod poduszką. Dzięki temu czuję go przy sobie.

Więzienie w Karaczi, 15 sierpnia 1981 r. Odpadający tynk. Żelazne kraty. Przeróżające, wdzierające się w uszy cisy. Jestem odizolowana. Cele wokół są puste. Tęsknię za jakimkolwiek ludzkim głosem. Nic się nie dzieje. W tej celi siedziała kiedyś moja mama.

Pogoda w Karaczi jest wilgotna i gorąca. Trudno oddychać. Wentylator w

wykluczają raka płuc. Mój Boże, myślę, ojca już straciłam, teraz mama! Może zbyt się nad sobą rozczulam? Nie mogę pozbyć się uczucia przegranej.

Po trzech dniach bez wody czuję się osłabioną. Powtarzam sobie: — Nie załamuj się! Nie wpadnij w ręce dyktatora Zia!

Dyrektor więzienia przychodzi sam lub ze swym zastępcą i zawsze mówi to samo:

— Czy pani chce spędzić życie za kratami? Da sobie pani spokój z polityką i będzie pani wolna!

Czy oni rzeczywiście myślą, że dam się sterroryzować? Trzeba walczyć o

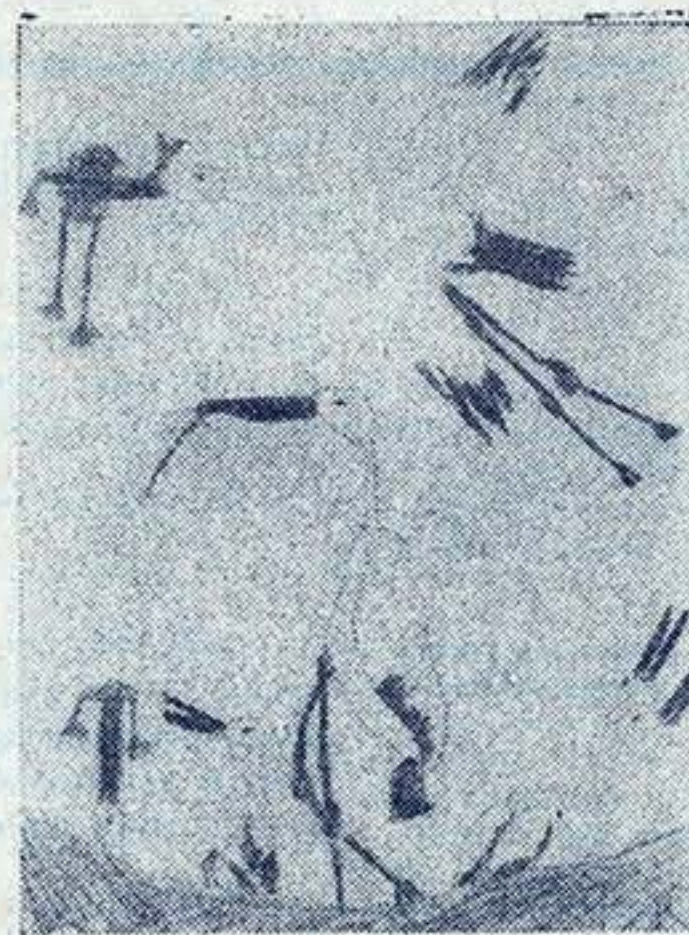
Bajki dla dzieci

Mieczysław J. Warszawski

Bajka pluszowo-fajansowa

Zacny, wielki w plusz odziany miś w przedszkolu dziś, gdy po przebudzeniu coś mu nie było w smaku innym czworonogom swym tubalnym głosem oznajmił tak: — Idę sobie stąd! Jednak dzieci w porę otoczyły go w krąg. Pytają: — A dokąd? Na to miś: — Tam gdzie poszedł wielbłąd! Do oazy! Jak to czynił wiele razy! Więc dzieci nie tając zdziwienia, gromko odpowiadają: — Wielbłąd!

Oj, misiu, misiu, popełniasz wielki błąd, gdyż nie wiesz, bo i skąd, że fajansowy nasz przyjaciel wielbłąd wypadł nam po prostu z rąk.



U babci

U babci w kącie stoi wiekowa szafa na wylocie.

A tam!

Mówię wam:

Ile moli?

Do woli!

Jakże namolne te swawolne!

Kęsem dla nich wieszak tkanin.

Tylko szczypta naftaliny psuje im smak watoliny

Zenon Czarnecki

Odra

Odra wiję się wstęgą zakolami wśród łąk tam gdzie pachną stokrotki i śpiewają skowronki

Nieba błękit czyściutki tonie w wodnym odmiecie i olch liście zielone w każdym wodnym zakręcie

Woda pluszcze cichutko płynie sobie beztrosko mija pola i lasy mija Ziemię Lubuską

Potem w dolnym swym biegu płynie obok Szczecina i dopływa do brzegu gdzie się Bałtyk zaczyna

Gniazdo bociana

Gniazdo bocianie puste wyzięble tkwi na topoli osamotnione tylko wiatr szepcze ptasie legendy że odleciały w daleką stronę

I pozostaną w odległych krajach dopóki u nas zimne zamiecie a potem wrócą ptasim zwyczajem gdy tutaj słonko jaśniej zaświeci

I gniazdo znowóż nam się ożywi klekotem boćków małych siodlatych i może wszyscy będą szczęśliwi że już nareszcie wróciło lato

Zajaczek

Mały zajaczek nastawił uszy potem ostrożnie ruszył wąsami i podumawszy pobiegł przed siebie wąziutką dróżką między zbożami

Mama mówiła że gdzieś w pobliżu jest na zagonie młoda kapustka więc na myśl o tym aż się obliżał ale to będzie prawdziwa ucztą

I byłby może doznał rozkoszy i poznał przy tym nowe zagony gdyby tu nagle o wielkie losy nie wyskoczyły z zarośli kuny

A to dopiero co to za zgraja to jakieś bardzo zadziwiające że tak olbrzymie mają ogony i nie podobne są do zajaca

Lepiej się jednak usunąć z drogi i pozostawić przysmak liściasty bo nie wiadomo co może zrobić ten obrzydliwy zwierz ogoniasty

Kiedy opętany nią i jej ciałem przepracowałem tak cały rok, dostawałem nowe zamówienie. Dla budynku Czerwonego Krzyża. Ale diabeł chyba maczał w tym palce, bo miała to być znowu matka z dzieckiem. Od razu powiedziała, odwal się ode mnie. Zapowiedziała, że nie będzie pozować, nie chce mieć z tym nic wspólnego. Że rozchorowałaby się, że by umiała, wyrzuciła, odeszła ode mnie. Ale że nigdy już nie będzie jak głupia stać z jakąś obrzydliwą lalą na ręku. Niech to sobie wybije z głowy. Tak też zrobiłem. I oto widać, jak istotną rolę w rozwoju sztuki mogą odegrać domowe okoliczności. (Lard pour l'art.) Bo oto zrobiłem pochyloną postać wielkości większej niż naturalna, całkowicie otwartą, która podnosi z ziemi nie tyle dziecko, co jakieś stworzenie. Posąg wyrażał raczej jakiś macierzyński gest, niż miał cokolwiek wspólnego z rzeczywistym wizerunkiem matki i dziecka. Brak piersi, korpus widoczna dziura, przez którą musiała być widoczna trawa, gdzie miał zostać ustawiony, oraz pozabawiony ludzkiego wyrazu. Pięść skierowana do ziemi. Olga była zachwycona i rozentuzjuszowana. Przesadnie. Ponieważ to nie miało nic wspólnego z nią. Być może dlatego, gdyż uważała, że to nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek matką i dzieckiem. Wiedząc, kiedy przyszedł wykonywać gipsowy odlew, przepracowywała się: z chustką na głowie, w dżinsach i bluzie, z korpami na twarzy i rękach, biegła jak kamieniarz, stukator i rosyjska kobieta-murarz w jednej osobie. Pomagała mi przy sporządzaniu formy, wyjmowaniu z niej gliny, rozrabianiu gipsu. Kochana! Wszystkie zgięcia i linie na jej ciele były białe. A rude włosy wyglądały jak siwe od pyłu. Kiedy posąg był odlany w brzoju i ustawiony, otrzymałem zaproszenie do wzięcia udziału w otwarciu gmachu przez królową. Zamiarem było „przedstawić artysty jej wysokości na miejscu dokonania”. Bardzo się z tego oboje śmialiśmy, bo w atelier, w cieniu posągu zdrowo się waliliśmy i jedno dokonanie zmieniało drugie. Olga zaczęła natychmiast szyc sobie nową sukienkę. Wycięła ją głęboko i przyszyła do mnie, nachylała się i pytała, czy coś widać. „Tylko sutki”, odpowiadałem. No bo tak było. W dniu otwarcia staliśmy na posterunku, przed moim dziełem w gorącym jesiennym słońcu. Wyglądała tak pięknie, że wprost nie mogłem patrzeć na swoją rzeźbę. Widzieliśmy przez okno, jak królowa krocy z jednego oddziału na drugi, otoczona drepzącą swiłą powlekanych we fraki marabutów. Królową wypuszczano zawsze parę kroków do przodu, tak jakby miała wypróbować, czy sklepienie wytrzyma. Zaraz potem widzieliśmy, jak zwiędła otoczenie, odpoczywa nad stawem i wymachuje, zapewne na pelikany na wyspce. I jestem przekonany, że odpowiedziały jej skinięciem tych swoich odkurzaczowych worków. Wzięło się to może stąd, że jej wysokość znowu miała na głowie jakiś koszmarny z piórami i może dopatrzyli się w niej egzemplarza swojego gatunku. A potem ruszyli w naszą stronę. Olga stała obok mnie w pozie dziobowego posągu, prezentując trzy czwarte piersi na tacy swojego gorsu. Ale kiedy swiata czarnych mrówek ze swoją królową na czele była już blisko, skreślił i ominął nas lukiem. Później na tarasie, kiedy królewski gość odjechał w lśniącym czarnym dworskim aucie i każdy mógł żłopać sherry ile wlezie, a Olga wyszła na chwilę do toalety zostawiając mnie samego w kącie, podszedł do mnie młody, ruchliwy mistrz ceremonii o inkwizytorским wyglądzie. Spojrzał na mnie z naganą i powiedział: „Rozumie pan, że w tej sytuacji nie mogliśmy przedstawić pana jej wysokości”. Gdy uniósłem ze zdziwieniem brwi, dodał szeptem: „To, jak jest ubrana dama, która panu towarzyszy, przekracza wszelkie granice”. Kiedy w kilka lat potem, gdy już ode mnie odeszła, znalazłem się przypadkowo w tym miejscu, a dojdzie do budynku znalazłem zagrodzone, usiadłem naprzeciw pomnika po drugiej stronie kanału. Stał mi przed oczami tamten wrzesniowy dzień. Gdy stała w tej obcisłej sukience i z tymi swoimi cycami na wierzchu jak dalej na czeleowanej tacy. Jak błąd przy niej mój posąg. Pozbawiona życia abstrakcja, która nic z niej nie zachowała. I wtedy mnie uderzyło, że przecież tym posągiem daliśmy kształt jej lekowi. Lekowi przed macierzyństwem. Że to nie była kobieta, która podnosi dziecko, ale taka, która odpycha je od siebie na ziemię. Że to dziecko wypełniłoby sobą dokładnie dziurę w ciele tej kobiety. Że to wszystko teraz jednak dotyczy jej, jaka była, gdy ją niedawno spotkałem. Zmaltretowana, po dwóch skrobaniach u jakiejś brudnej baby, z wyciętym jednym jajnikiem i śmiertelnie zmęczona ucieczką przed samą sobą. I przetrwał mnie ten dawno zrobiony posąg. Przy którym mi pomagała taka beztroska i szczęśliwa. Musiałem zdumiewająco jasno widzieć przyszłość. Co jednak moje ręce widziały wcześniej, ja sam za późno zrozumiałem. Za późno, żebym jej jeszcze mógł pomóc.

PEEL ME A GRAPE

Jasne, że była próżna. A co byście chcieli, jak ludzie o mały włos nie wpadają pod tramwaj, oglądając się za sobą; kiedy chodzisz po zakupy przy niemiłym koncercie klaskonów, a wszystkie kobiety z osiedla najchętniej spaliłyby cię na stosie jako czarownicę, bo ich mężowie czekają z nosem przy szybie i z ręką w kieszeni, aż będziesz wracała od reżnika. Kiedy wybierała się do Bata International na Kalverstraat po buty, często kupowała za małe. Mówiła wtedy, że stopy ma nabrzmiałe od chodzenia po sklepach. Ale od razu poznawałem po poduszeczkach na jej podbiciu (istnych dolnych cykach), że nie w tym rzecz. Kiedy później ją bolało, gdy w nich chodziła, mówiła, że jednak miałam rację. Że czuje się jak jedna z przyrodnich siostr Kopciuszka. Wówczas odkręcałem imadło i mówiłem, że mogę jej odjąć piłkę do metalu kawałek pięt albo palucha. Albo zabierałem się do niej z ostrymi jak brzytwa obciągami. Pewnego razu, kiedy wracaliśmy w niedzielę o czwartej nad ranem z nocnego koncertu — Jay Jay Johnson i Lee Konitz — miała rzeczywisty krew w butach. A gołębie na drzewach Van Buerlestraat gruchały jak najęte, ale nie o tym, że ona nie jest prawdziwą narzeczoną. Na początku szła na bosaka, kuląc się z bólu, ale długo tak nie wytrzymała. Zresztą bała się, że którymś zartem bąblem nastąpi na żółtosieloną flegmę, wycharkniętą przez jakiegoś starego grzyba. Powiedzieliśmy, że ją zaniosę do domu. Najpierw chciała spocząć swoimi okrągłosciami w moich ramionach. Ale o tym nie mogło być mowy. Nie byłam Johnnym Weismüllerem, ani zresztą ona Jane. No więc podkasała obcisłą spódnice i wzięła ją na barana. I za każdym razem, kiedy wyprowadzał nas autem jakiś półpijany hulaka, zatrzymywał się, żebymy mu jeszcze raz prze-

defilowali. Bo te jej jedwabne figi zniknęły bez reszty w jej wielkim kanionie i wyglądało to tak, jakby wlała na mnie z gołą dupą, a coś takiego nawet dla kogoś półprzytomnego z riewuspiania i męczącego nudnościami po alkoholu, to był widok nie do przecenienia. Można było przy tym nie wierzyć własnym oczom. W owych czasach chodziliśmy na wszystkie koncerty jazzowe, nawet jeśli musieliśmy przez cały tydzień odmawiać sobie w tym celu mięsa. Art Blakey and the Jazz-Messengers z Lee Morganem na trąbce. Kwintet Milesa Davisa. Jazz from Carnegie Hall: Dizzy Gillespie, Roy Eldridge, Stan Getz. Trio Sonny Rollinsa. Max Roach and his All-Stars. Dziesiątki obiadów z samych jarzyn z kartoflami. Kiedyś wracaliśmy po koncercie w porze, kiedy tylko rybacy ruszali na łowy, a ona nie miała za ciastnych butów i mogła ustać na własnych nogach, wtenczas po to, aby nam te choleryne płyty nie przesunęły się pod stopami tak powoli, bawiliśmy się w Kłóre Auto Ci kupię. Gdy Będę Bogaty. W długiej alei Churchilla. Mówiła na przykład przy biedniutkim Volkswagenu: „Dziesiąty samochód licząc od tego dostaje, gdy będziesz sławny i bogaty”. (Bo była przekonana, że taki za parę lat będę). Kiedy wypadł Citroen DS albo Jaguar, była uszczęśliwiona jak dziecko. Całowała mnie w oba policzki, jakbym go już tam właśnie dla niej postawił. Jeśli to wypadł zszargany wypierdek o przeżartej rdzą karoserii, stojący jednym kołem na złomowisku albo poharatany gniot, twierdziła, że

RACHATŁUKUM

Jan Wolkers



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

musieliśmy się gdzieś pomylić w liczeniu. I że zaczynamy od nowa. Bo do czego by to było podobne, gdyby ona, we francuskich butach rękawiczkami, wzięła w ręce to pięćdziesiąt gułdenów, wzięła w ręce to wężu, który nie był wart nawet pięćdziesięciu gułdenów za złom. Bawiliśmy się w to w różnych rejonach Amsterdamu, bo chodziliśmy na dużo różnych imprez. I stałe też na nocne seanse klubu filmowego w Kriterionie. W prowincjonalnym ważnym kinie w tym swoim zakichanym Alkmaarze nie obejrzała więcej niż Romy Schneider w Młodej Cesarzowej Sissi albo High Society z Louisem Armstrongiem. (Różne rzeczy stały podpiętywałam myjąc endywie albo przy obieraniu kartofli. Dam sto tysięcy, co ty na to. Ja nie. Mogłabyś wszystko a to kupić. Ja nie). Była tak zdumiona całym tym światem filmu. Nawet jej się nie śniło, że coś takiego istnieje. A ja byłem dla niej czarodziejem, który to wszystko wydobył na światło dzienne. Kolosalne dekoracje z Nietolerancji Griffitha. Głowy Asyryjczyków, których po seansie chciało się szukać między fotelami, tak prawdziwie toczyły się na salę. Dosłownie na mnie wchodziła, kiedyśmy przeżyli chwilę grozy z Conradem Veidtem albo Borisem Karloffem. Albo kiedy brzytwa w Psie Andaluzijskim zbliżała się do wybaluszonego oka, a kamera przejeżdżała na kście, wzdłuż którego przeciągał wąż wężek chmury. I wydawała z siebie mroźny krew w żyłach okrzyk. Lysy Mongol dmuchający we wspaniały futrzany kołnierzy z lisa przypomniał jej futerko, które jej podarowałem na początku. Kiedyś próbowałem złapać okazję, a ona mnie zabrała. Uważała, że patrzyłem z taką samą zachłannością. Nie na futro, tylko na nią. Miesiącami wolałbym przy różnych okazjach O Łyżkę Strawy, po obejrzeniu Potiomkina. Ale najpiękniejszy ze wszystkich był dla niej Obywatel Kane Orsona Wellesa i z jego udziałem. Zwłaszcza że, jak ten stary człowiek leży na łożu śmierci i upuszcza z umierających rąk szklaną kulę z wirującym śniegiem mamrocząc ROSEBUD. I za każdym razem, kiedy w domu kładłem się na sofie z pięćdziesiątą tenisową, którą wypuszczałem z rąk stekając naturalistycznie rosebud, ona prawie miała łzy w oczach. (Pewnie dlatego, że przypomniało jej się, że ojcowa łoża śmierci. Nigdy jej nie mówiłem, że ostatnią rzecz, jaką powiedział, był tamten kawałek o chłopakach, co wybierali się do Parry. Może gdyby to było coś tak pięknego jak

rosebud, na przykład gdyby to był pączek jak skra, to wtedy bym jej powiedział. Ale życie to daleko nie jest film. W końcu się nie wybrali). Najwięcej uśmiechała się na tym filmie z Mae West, gdzie ta, potraktowana strasznie z góry pod drzwiami własnego domu, przez bogatą damę, co przyszła ją prosić, żeby została w spokoju jej męża, wraca do pokoju i odgrywa się na służące, której wyniosła nakazuje: „Peel me a grape”. I kiedy ja, zamiast bogaty i sławny stałem się biedny i odarty ze wszystkiego, i przeszedłem na system „dostarcz dzieło — dostaniesz zasilek”, bo tej bandzie łobuzów w Hadze znowuż się wszystko popieprzyło i spodobalo im się oszczędności w zakupach zatką wyrwę w budżecie, który się rozklekotał od hysterii zbrojeniowej, wtenczas ona, biorąc eleganckim gestem te parę dziesiątek zasilku na życie, jakie jej wtykałem, mówiła nieraz: „Peel me a grape”. I nie tracąc pogody ducha szła dorobić. W zakładzku nieopodal dostawała guldena za godzinę za grzebanie majtek z tworzyw sztucznych dla niemowląt. I kiedy przepracowała od osmej do dwu nastęj i wracała do domu z miałem plastikowym we włosach i palcami sztywnymi od mechanicz-

lem. I po czymś takim facet zniknął przeważnie na kwadrans w toalecie. I tak musiała stamtąd odejść, jeżeli nie chciała rozłożyć całej obsługi rent dla osób z zaburzeniami psychicznymi i innych inwalidów w rozumieniu prawa, jak to nazywają. Wtedy na jakiś czas trzeba było pożegnać się z dżinem i dżezem. Ale przyjemnie mi było z tym, że znowu miałam ja cały dzień koło siebie, a ona bardzo dobrze znosiła biedę. Było jej tak swojsko i przytulnie, jak mi kiedyś powiedziała. Bo wtedy znowu mogła mi pokazać, co potrafi zrobić z wędzonego śledzia i paru pomidorów, pietruszki i jajka na twardo. Ale kiedy już nie mogła wytrzymać, bo taka ją brała ochota na coś smaczniejszego, pytała jak mała dziewczynka: „Czy mogę zrobić torciki?”. Kupowała świeży chleb i pół kostki masła śmietankowego. Z rozpromienioną twarzą zasiadała do stołu, z rozkoszą smarowała kromkę chleba na grubo masłem, posypywała to na centymetr czekoladą w ziarenkach a na to tłuczony anyżek. Zima w Czekolandii to się nazywało. Albo wychłapywała pół słoika dżemu truskawkowego na dwa chlebki, na to płatki czekoladowe i przykrywała różowym plasterkiem sprasowanych wórków kokosowych. Mając duże usta pełne dżemu i ziarenek rozkoszowała się tym potem z miną spiskowca i niecnoty. Bo robić torciki pozwalał jej kiedyś ojciec, kiedy w przerwie obiadowej przychodziła ze szkoły, a matka była gdzieś na kominkach. On wtenczas zaczynał pierwszy od swojej racji dwu kromeczek chleba i dwu plasterków sera, jakie przygotowała dla niego na blacie kuchennym. Ale kiedy tak patrzył na palaszowanie Olgi, w końcu nie wytrzymał i szepem, jakby jego zły duch podsłuchiwał pod drzwiami, prosił: „Zrób i dla mnie jeden torcik”. A kiedy już sprzątnął ze trzy lub cztery, zmiatał ziarenka ze swojego talerza na talerz Olgi i mówił: „Ani słowa mamusi, dobrze?”. Torcików u mnie mogła jeść, ile dusza zapagnie, ale zamiast na koncerty jazzowe i filmy chodziliśmy teraz dla rozrywki na łono natury, bo to było bez biletów. Do miejsc, które później niemal równocześnie z nią przepadły. Zasypane piaskiem i zabudowane blokami. Południowy Szlak Spacerowy z pomarańczowymi kortami tenisowymi i wysokim żywopłotem czarnego bzu, walącymi się komórkami i szopami nieokreślonego charakteru. Szkolne ogródki z dziećmi grzebiącymi się między grzędami jarzyn w czarnej torfowej ziemi. Zabielone wapnem szklarnie, niechlujnie, jakby nad nimi na drzewach mieszczała się kolonia szapie. Kwiaty, których samemu można było szarpać narwać za pięćdziesiąt centów. Ile kto mógł unieść. Tutaj wpadłem na pomysł zrobienia z niej tamtej wielkiej Persefony. Ugorek, przy którym wśród trzcin rosła palka, z której chłopcy rwali całe narecza brązowych kołb dla matek, kiedy uszargali się w błocie po kolana. I gdzie zawsze, gdyśmy przechodzili obok, paru chłopców wołało do nas ze zbudowanego przez siebie szalasu: „No, całujcie się, na co czekacie?”. A któryś z nich, prześmiewczy, tak że myśleliśmy, że to na żarty: „Proszę pana, tutaj jest taki facet, który chce żebyśmy mu pokazali ptaszka. Przecież to jest brzydko!”. Ale wtem zobaczyliśmy niepozornego chłopca, jak się przez trzcinę przemyska do swojego roweru i zwięza na łeb na szyję. Szlak Spacerowy za Buitenveldert, na wskroś niskiej podmokłej łąki z jasnymi rowami wody, gdzie nawet w środku lata można było wyobrazić sobie pochylone ciemne sylwetki, wyrażające się na liźwach z miasta na poldery. Poronnięte wikliny zakole, gdzie były ustawione ławki i gdzie tak często zrzucali buty i wyciągała się jak długa w słońcu z głową na moich kolanach, słuchając odgłosów z ogródków działkowych, tłumionych przez zarośla. Przynajmniej jeżeli miejsce nie było zajęte przez jakiegoś frajera, co siedział i czekał na przejeżdżającą samotnie na rowerze pielęgniarce, żeby jej pokazać swojego ch... No i wreszcie Dijk, ostepy wzdłuż grobli nad Amstelem, prawie zawsze uczęszczane przez zbyt licznych podglądaczy jak na liczbę obecnych, kochających się parę, przez co niekiedy robiło celuloizję miłosną scenę w plenerze. I zakręciłem widziak z góry, którydy skośnie sunęły frachtowce o pokładach pełnych czerwonych skrzynek, albo pomarańczowych beczek z olejem, gdzie bujały na falach daleko w dole czaple, w takich samych barwach co woda, i skąd dochodziły głosy wiosłarzy, jakby byli bliźniaki. Drzewa Amstelrui w oddali z boku, skąd niekiedy wzbijała się w powietrze cała chmara wron, tak jakby korona drzewa nagle nabrała dużo powietrza. W tamtym miejscu nad rzeką pewnego razu zjadła jedną po drugiej osiem porcji lodów, które jej kupiłem u lodziarza koło zarde wiałego stojaka na rowery przed pływanią Mirandą. Oczywiście rozbiła ją brzuch i musiała wracać do domu zgięta w pół i przyściągając rękami żołądek. Wszystkie te drobiazgi pamiętała jeszcze po latach, kiedy już dawno wszystko między nami było beznadziejnie minione i stracone. Jak się okazało, kiedy ot tak sobie na chwilę do mnie zjawiła. Po prostu myślałem, że bym ją mógł zobaczyć. Potem patrzyliśmy na powstające ekraniki oświetlonych okien, a ja próbowałem pokazać jej, gdzie było wszystko kiedyś, ale sam już tego nie widziałem. W drodze powrotnej powiedziała, że pierwszego stęz nia sześć lat temu jedliśmy baraninę z fasolką szparagową. I morele na deser. Wtedy przypomniałem sobie zdanie z listu przyjaciela napisanego tuż potem, jak sobie poszła: „Byłście ze sobą beczkami szczęśliwi. I to się po prostu skończyło”.

(CDN)

Tłum. ANDRZEJ DĄBRÓWKA

(Fragmenty książki wybitnego pisarza holenderskiego, przygotowanej do druku przez Wydawnictwo „ISKRY”)

Dzieci KOSMOSU

Od najmłodszych lat do ostatnich swych dni człowiek świadomie lub podświadomie poszukuje wartości, które są mu niezbędne do egzystencji cielesnej i duchowej. Goni za nimi i czyni wysiłki, by je zdobyć. Zapomina, że największą wartością jest on sam. Życie bowiem jest wartością bezcenną! Przechylimy je jak najlepiej, w zgodzie ze sobą i innymi ludźmi. Spójrzmy na nasze zalety i wady i postarajmy się, by tych ostatnich było jak najmniej.



MĘŻCZYŹNI SPÓD ZNAKU BLIŹNIĄT

Urodziłeś się między 21 maja a 21 czerwca, w okresie, gdy wiosna — cała w słońcu, kwiatach i kolorach, szuka się na spotkanie z gorącym latem. Twoim znakiem zodiaku są Bliźnięta, a znak ten podlega planecie Merkury, która należy do Trygonu Powietrznego.

Intelektualizm, wszechstronność, nowatorstwo i ciekawość świata — to Twoje podstawowe cechy, przyznać trzeba, że bardzo piękne. Chętnie się uczysz. To, co inni muszą dłużej „wkuwać”, Ty przyswajasz sobie z łatwością. Przy tym potrafisz zdobyć wiedzę w sposób zwięzły i komunikatywny przekazywać innym.

Marzysz o podróżach, a Twoje pasje poznawcze skłaniają Cię często do nauki języków obcych. Ludzie spod znaku Bliźniąt lubią kolekcjonować co się da i miewają imponujące biblioteki.

Twoja wiedza o świecie i ludziach oraz pociąg do wszystkiego, co nowe i nowoczesne, wiodą Cię nierzadko do kariery. „Ten człowiek, to żywa encyklopedia” — mówią o Tobie zwierzchnicy i awansują Cię lub po prostu Cię ważą. „To cudowny chłopak, wrażliwy i inteligentny” — zachwycają się kobiety, z których chętnie w panach spod znaku Bliźniąt. Niewątpliwie masz w sobie coś, co nazywa się komunikatywnością. Od pierwszego spojrzenia nawiązujesz znajomości, a po godzinie spędzonej z Tobą, człowiekowi się zdaje, że zna Ciebie od lat.

Jednak nie wszystko w Tobie jest takie doskonałe. Wszechstronność za interesowań nie pozwala Ci zgłębić porządnie jednej, wybranej dziedziny. Cóż z tego, że ciekawość i komunikatywność skłaniają Cię do nauki i języków obcych, skoro żadnego języka nie znasz biegle! Cóż z dalekich podróży, skoro niewiele z nich wynika! Cóż ze wszystkich wielkich pasji, gdy, chcąc poznać zbyt dużo i zbyt szybko, traktujesz wszystko „po lebkach”!

Z wielości zadań, którymi się zajmujesz, bierze się powierzchowność i niedokładność. To Twoje podstawowe cechy negatywne. Niedokładne i niestandardne traktowanie spraw i ludzi mści się na Tobie w kregach towarzyskich w pracy zawodowej i w rodzinie. Prawda, że jesteś cudownie wszechstronny i błyskotliwy, to ludzi obciążających z Tobą oszalała. Ale dobrze będzie gdy poza wszystkim wybierzesz sobie jedną dziedzinę i jej poświęcisz maksimum uwagi.

Popracuj też nad koncentracją, której brak w Tobie odczuwa najcięższe otoczenie. To właśnie powoduje, że, odcięty przecież człowiekiem otwartym i życzliwym, nieważ opinio osobą by niestaje, nawet fałszywie, bo co rusz zmieniając plany, zamiary, przyjaćci, poglądy.

Twa opiekuńcza planeta nosi imię Merkurego — rzymskiego boga handlu, finansów i podróży, którego greckim odpowiednikiem jest Hermes. W obu mitologiach — rzymskiej i greckiej, bogowie ci byli posłaniami bogów, a do ich obowiązków należało komunikowanie się ze światem zewnętrznym, a następnie przekazywanie wiadomości boskiemu gronu — i na odwrót. Zarówno grecki Hermes, jak rzymski Merkury po siadał wysoką inteligencją, odznaczał się niesłychaną aktywnością umysłową, ostrygawczością oraz zdolnością porządkowania w sposób logiczny wszystkich informacji płyną-

cych z ziemi do nieba i z nieba do ziemi.

Twój patron Merkury przekazał Ci te zalety. Ale dał Ci także wady! Należą do nich gadulstwo, plotkarstwo, krytykanctwo, nerwowość oraz skłonność do marudzenia i przewlekania tematów. Czasem zapędzasz się w te wady tak daleko, że nie jesteś w stanie prowadzić rozmowy. Słowa nie nadążają za myślami i za mniast sensownych wypowiedzi, wychodzi Ci belkot. W takich przypadkach rozmowy uciekają przed Tobą, i już nie jesteś ciekawym gawędziarzem, lecz trudnym do zniesienia nudziarzem.

Bliźnięta wraz z Wagą i Wodnikiem tworzą Trygon Powietrzny. Co wynika dla Ciebie z tej przynależności? Spójrz na cały ten wyjątkowo zgrany tercet! Wodnik — inwencja, Waga — artyzm, Bliźnięta — intelekt. Wynika z tego, że ludzie spod tych trzech znaków powinni bardzo dobrze czuć się we własnym towarzystwie.

Intelekt jest wysoką wartością. Człowiek albo go w sobie kształtuje, wzbogaca i doskonali — w miarę swego rozwoju, albo marnuje i z czasem zaprzepuszcza. Mam nadzieję, że znajdziesz się w tej pierwszej grupie.

Powietrze ma cudowną symbolikę: wznoszenie się — coraz wyżej i wyżej, ku szczęściu, doskonałości, niebu, słońcu! Oddychanie pełną piersią! Orzeźwiający powiew wiatru! Przemysł tę symbolikę i postaraj się z niej skorzystać w życiu codziennym.

Powietrze jest lekkie, kojarzy się z zefirem, ozonem, zbawczym dla płuc tlenem. Ale potrafi też być wielką siłą: unieść balon i samolot, pędnąć wiatrak i żaglowce. Jest siłą twórczą. Ale może przybrać postać huraganu — i być siłą niszczycielską.

Jedno pewne: że egzystuje bezkonfliktowo z każdym spośród żywiołów, t.j. z Ogniem, Wodą i Ziemią. To też panowie spod znaku Bliźniąt (po dobie jak spod znaku Wagi i Wodnika) będą współżyć z każdą panią, która im się spodoba — oczywiście z wzajemnością oraz okazję do zrozumienia i tolerancji. Jeśli dotychczas jeszcze nie znalazłeś partnerki na całe życie, poszukując jej kieruj się gustem, sercem, no i w pewnym stopniu także rozumem. W każdym razie nie jest ważne, pod jakim znakiem urodziła się Twoja wybranka. Dla zapewnienia Wam harmonijnego pożycia wystarczą Twoje dobre cechy. Pod warunkiem, że ładnie się w Tobie rozwinęły!

Mężczyźni spod znaku Bliźniąt w kontaktach z pięć przeciwną kierują się emocjami. Jeśli kochają, to całym sercem, bez reszty, z wielkim zaangażowaniem. Niestety, jak we wszystkich sprawach, tak też w miłości nie trwają zbyt długo przy jednym obiekcie. W tej sytuacji o tym, czy związek z Panem spod znaku Bliźniąt przetrwa długo, decyduje stopień tolerancji, okazywanej przez towarzyszkę życia.

Najlepszym dniem dla Ciebie jest środa: dzień Merkurego, najszybszą cyfrą — czwórka.

Może Cię to zainteresuje, że spod znaku Bliźniąt byli: wielki kompozytor niemiecki, twórca opery Ryszard Wagner i prezydent USA John F. Kennedy. Pod tym znakiem urodzili się także: prof. Aleksander Krawczuk, prof. Tadeusz Popiela — chirurg, aktorzy Piotr Fronczewski i Igor Smiałowski, piosenkarze Charles Aznavour i Mieczysław Fogg, reżyserzy Krzysztof Zanussi i Adam Hanuszkiewicz, dyrygent Henryk Czyż, rysownik i publicysta Szymon Kobyliński, polityk Józef Czyrek, dziennikarz Alfred Siatecki.

Ciekawostka dla pań urodzonych pod znakiem Bliźniąt, pominięta w poprzednim numerze: spod znaku Bliźniąt była Marilyn Monroe — i jest Violetta Villas.

W następnym numerze „Nadodrza” odcinek dla pań urodzonych pod znakiem Raka — w okresie od 22 czerwca do 22 lipca, pod wpływem Księżyca, w Trygonie Wodnym.

EWA FOSS

Po sesji „Odrodzona i niepodległa w literaturze”

Skromna, i w zasadzie nie zmieniająca składu, grupa zielonogórskich historyków literatury od czasu do czasu organizuje ogólnopolskie sesje literackie. Dobrze to, choć szkoda iż zawsze mają one charakter rocznicowy. Tak było w roku 1980, kiedy organizowano sesję „450 rocznica urodzin Jana Kochanowskiego”, w roku 1984 odbyła się sesja pt. „Z problemów literatury Czterdziestolecia”. Majowa sesja, zatytułowana „Odrodzona i niepodległa w literaturze”, jak stwierdził organizator sesji prof. dr hab. Władysław Magnuszewski, wien-czyła obchody 70-lecia niepodległości. Ale nie to jest najważniejsze.

(„Neoromantyczna poezja Kazimierza Wierzyńskiego”); zaś rewindykacja prof. Trzynadłowskiego była rewindykacją humanistyki („Lektury mojej młodości — Nalkowska, Parandowski, Dąbrowska”). Ścisłej. Hutnikiewicz przedstawił referat precyzyjny, przynoszący nieznane bliżej konteksty historyczne. „Przedwiosna”, a nade wszystko jego nową, głęboko humanistyczną interpretację. Ta interpretacja dotyczyła postaci powieści. Cezary Baryka jest uczestnikiem wojny 1920 r., ale też uczestnikiem wieców agitacyjnych i rewolucyjnych. Motorem jego myślenia jest lek przed tym, co widział w Baku. Nawłóć zaś jest

Temu bohaterowi — mówi Hutnikiewicz — Żeromski jest niechętny. Gajowiec — związany z obozem Belwederskim, esencję swoich poczyną widzi w Polsce Niepodległej, która jest „jedynym romanssem jego życia”. I to było też przesłanie „Przedwiosna”. Kiedy więc prof. Hutnikiewicz interpretował ostatnią scenę powieści: marsz na Belweder, mówił o dwóch katastrofach Baryki, jakimi były: niespełniona miłość do Laury, i udział w marszu na Belweder, który był obrazem i znakiem majestatu Polski, marsz na ten majestat był zamachem i największą tragedią przedwiosna Polski.

Ideę nowej interpretacji „Przedwiosna” prof. Hutnikiewicz uzupełnił fragmentami listu, który Żeromski opublikował w „Echu Warszawskim”, gdzie pisał: „Oświadczam krótko, iż nigdy nie byłam zwolenniczką rewolucji czyli mordowania ludzi przez ludzi z racji rzeczy dóbr i pieniędzy (...). Przy pomocy tego utworu usiłowałam, o ile to jest możliwe, zabić drogę komunizmowi. Ostrzec, przerazić, odstraszyć”.

Zgola odmienny sposób mówienia o literaturze przedstawił prof. J. Trzynadłowski. Pozornie była to anegdota, plotka, wspomnienie. Prof. Trzynadłowski pod tą pokrywą w każdej czytanej książce szukał filozofii człowieka, zmagając się z pojęciem wartościowania. Gajowiec Trzynadłowskiego to ustawiczna ucieczka w rozstrzyganie sporów poloni stycznych wszelkiego rodzaju.

Prof. Makowiecki rewindykował teksty K. Wierzyńskiego z lat 1936-1946, a było to aż siedem tomów poezji. Odsłonił mechanizmy ich eliminacji w naszym powojennym ruchu wydawniczym, który jednak dla Wierzyńskiego był „upostaciowieniem czystości etycznej, niezbędnej w budowie nowego życia, surowego przymusu, wyrzeczenia a także dziejowego realizmu”.

Postulat upominania się o teksty, interpretacje i humanistykę obecny był też w innych referatach sesji, m.in. dr A. Świrski, dr D. Wierzbowski, mgr A. Kulecki, dr Cz. P. Dutki, dr J. Skuczyński, dr M. Januszewicz i mgr M. Jazownik.

ANDRZEJ BUCK

TRZY REFERATY I TRZY SZKOŁY

Jak w wielu przypadkach tego typu mniejszych obrad literackich, rangę merytoryczną spotkania wyznaczyły znaczące nazwiska. Tak było i teraz. Trzy referaty, trzy nazwiska i jednocześnie trzy szkoły myślenia i mówienia o literaturze zauważyłem w wystąpieniach prof. Artura Hutnikiewicza z Torunia, prof. Andrzeja Z. Makowieckiego z Warszawy i prof. Jana Trzynadłowskiego z Wrocławia. Dla zielonogórskich słuchaczy była to szansa otarcia się o dobry wykład uniwersytecki, wykład własny, referujący indywidualne wyniki badań. Ci znakomici uczeni jednolici w swej rzetelności naukowej, jakże różnieli się między sobą. Ewidentnie były tu trzy sposoby myślenia o literaturze i dalej, trzy rodzaje rewindykacji: czynności która aktualnie najbardziej zajmuje chyba rzetelnych polonistów. I tak rewindykacja prof. Hutnikiewicza była rewindykacją treści („Jak należało czytać „Przedwiosnie”?); rewindykacja prof. Makowieckiego doprowadziła się o teksty dotąd niepublikowane

wspomnieniem własnego, spokojnego domu. Baryka jest więc postacią psychologicznie skomplikowaną i niejedną znaczną. Hutnikiewicz wnikał w kształt jego buntu i szukał jego inspiracji, także w kłóskach osobistych, w niespełnieniu miłości do Laury, która była przyczyną ucieczki z Nawłoci i negacji rzeczywistości. Profesor mówił: „Ostatnia scena Nawłoci nie wygląda na oddaj przyszłego sojusznika komunistycznego pochodu na Belweder, który obrzydliwie sobie do cna jaśnieńską ohydą Nawłóć, fundującą swe wieprzowate życie na nędzy ludu, odjeżdża w świętym oburzeniu z niezłomną wolą wydania walki temu światu bezmyślnego ucięcia jałowego życia”.

Weryfikował też Hutnikiewicz postaci Gajowca i Lulka, tak znaczące w ocenie Baryki. Ta ostatnia — nieproszony instruktor Cezarego, nośnik nie patriotyzmu, a krwawej rewolucji, czeka na potknięcia Niepodległej, by mogła powstać: cytuję: „autonomiczna republika w wielkiej europejskiej republice rad”.

MIŁOŚĆ PRZYJDZIE SA MA

Ciąg dalszy ze str. 6

cena, którą muszę zapłacić za polityczne cele, stanowiące sens mojego życia.

Fakt, że w całym kraju byłam bardzo znaną, uniemożliwiał mi poznanie mężczyzny w „normalny” sposób, pokochanie go i w konsekwencji wyjście za niego. Nawet najbardziej strzeżony i dyskretny związek dostałby się w końcu na łamy brukowców, które i bez tego pisywały o mnie różne rzeczy.

W Azji zaaranżowany ślub to bardziej reguła niż wyjątek. Moi rodzice byli wyjątkiem. Pobrali się z miłości, to też i ja spodziewałam się, że któregoś dnia po prostu zakocham się i wyjdę za męża, czyli, że posłubię mężczyznę z własnego wyboru.

Nie mogłam jednak myśleć o takich sprawach, podczas gdy ojciec siedział w więzieniu, a gdy został zamordowany, myśli te tym bardziej oddalały się ode mnie. Nasze tradycje rodzinne mówiły, że żaden Bhutto nie może zawrzeć małżeństwa przed upływem 12 miesięcy od śmierci członka rodziny.

Chciałam odczekać dwa lata. Nie tyłko ze względu na pamięć o ojcu, ale także dlatego, ponieważ wypełniona bólem, nie potrafiłabym być szczęśliwa. Upłynęły dwa lata i znalazłam się w więzieniu.

Po trzech latach, w 1984 r. kiedy mnie zwolniono, wyjechałam do Anglii, a moja mama znów zaczęła mówić o małżeństwie, czemu byłam przeciwna. Po latach spędzonych w izolacji czułam się niezbyt pewnie w towarzystwie, więc co tu było mówić o rozglądaniu się za przyszłym mężem.

Podczas, gdy w Anglii leczyłam podopadłe zdrowie, moja rodzina nie przestawała nade mną debatować. Każdy członek rodziny miał dla mnie swojego kandydata na męża.

Mama z ciotką Manną przekazywały mi oświadczenia Asifa Zardari pochodzące go z rodziny posiadającej ogromne posiadłości ziemskie w Pakistanie. Moja ciotka zatroszczyła się o zdobycie szczegółowych informacji o Asifie: kształcił się w London Centre of Economic and Political Studies, posiada tyle i tyle ziem oraz firmę budowlaną, jego hobby to pływanie, gra w squash i polo.

W miesiąc później zamordowany został mój brat. Byłam zalamana. Powiedziałam rodzinie, że nie zamierzam w ciągu roku wychodzić za męża. Ale ciotka twarde obstawała przy swoim.

Zadawałam sobie pytanie, czy mój przyszły mąż zechce tolerować życie, jakie prowadzi? Zebrania polityczne przez ciągając się często do późnej nocy. Rząd ko bywam w domu, ciągle w podróży. Mój czas nie należał do niego, a tym samym nie będzie należał do niego. Czy zgodzi się, że moje obowiązki w stosunku do kraju są ważniejsze niż w stosunku do rodziny?

Myślałam także o uczuciach, jakie żywią do mnie ludzie w Pakistanie. Czy uczucia te zmieniają się, gdy będę mężatką? Byłam młoda, mimo to miałam za sobą kilka lat spędzonych w więzieniu. Ponieważ tragedię wycisnęły piętno na moim życiu, stałam się dla niektórych w pewnym sensie świętą. Siłę mojej partii zawdzięczałam w dużym stopniu ludziom, którzy przejawiali chęć chronienia mnie i opiekowania się mną. Czy mogę w dalszym ciągu na nich liczyć, będąc mężatką?

Z innej strony — jeśli pozostanę nie zamężna, mogą się w kraju wytworzyć wrogi mi nastroje. W męskim szowinizmowym świecie nikogo nie dziwi, gdy mężczyzna pozostaje kawalerem. Ale pozostając w stanie wolnym kobieta jest podejrzana.

— Dlaczego jest pani niezamężna? — często pytali mnie dziennikarze. Zawsze wówczas miałam ochotę spytać ich, czy takie pytanie stawiają nieżonatym mężczyznom. W muzułmańskim kraju nie respektuje się „starej panny”. Zamiast dyskutować o programie mojej partii czego życzyłabym sobie, dzienni karze snuli przypuszczenia, że kobieta samotna może okazać się zbyt neurotyczna, zbyt agresywna lub zbyt bojaźliwa, by móc rządzić krajem.

Mama także nalegała na mój ożenek z Asifem Zardari. Pozostawałam sceptyczna, ponieważ mama miała szczególny dar wyszukiwania dla mnie ludzi nudnych. Jeżeli Asif okazał się nudziarzem, — umrę przy takim mężu.

— Jak można wyjść za mąż za człowieka obcego? — zapytałam moją przyjaciółkę Lakore, gdy wróciłam do Pakistanu.

— Kiedy będziesz mężatką, popatrzysz na tę sprawę innymi oczami. Na uczysz się kochać tego mężczyznę, własnie dlatego, że jest twoim mężem.

Zaczęłam interesować się kandydatem na mojego męża i na własną rękę zdobywałam o nim wiadomości. Ktoś powiedział mi, że Asif spadł kiedyś z konia i od tamtej pory lekko utyka. Drobiazg, prze-

cież nie jest to cecha charakteru. Wielu znajomych wyrażało się o nim „przyjacielem” i to mi się spodobało. Już częściowo myślałam o małżeństwie i pozytywne nastawienie do tego przyszłego wydarzenia. Byłam jednak bardzo zajęta i miałam niewiele czasu na prywatne myśli.

Wreszcie poznałam go. Ciotka Manną trzymała w drżących rękach filiżankę i nerwowo popijała kawę, kiedy przybył Asif ze swoją macochą. Starałam się być na luzie, ale serce biło mi coraz mocniej z każdym krokiem, gdy zbliżałam się do niego. Rozmawialiśmy o sprawach obojętnych i mało istotnych, nie wspominając o ewentualnym ślubie.

Kiedy goście poszli, zdałam sobie sprawę, że nie zamieniam z Asifem ani jednego osobistego zdania. Mój narzeczony miał na nosie ciemne okulary, przez co nie zobaczyłam wyrazu jego oczu. Wieczorem, kiedy to wszystko przemyślałam, stwierdziłam, że Asif nie wzбудził we mnie emocji. Ale owoce mango, jakie przysłał mi następnego dnia, smakowały wybornie.

Przedstawiłam Asifa moim przyjaciołom z Oxfordu. Uznali, że jest miły. Jedną z pakistańskich przyjaciółek nazwała go szarmanckim i orzekła, że pasuje do siebie. Mimo to nadal pozostałam w niepewności.

O mojej przyszłości zadecydowała... pszczoła. Użądliła mnie — i ręka spuściła mi okropnie. Stało się to w czwartego dnia naszej znajomości.

— Zawiozę cię do lekarza — powiedział Asif.

Nie zważając na moje protesty zadzwonił po samochód, potem opowiedział lekarzowi o pszczołce i w końcu postarał się o właściwe lekarstwo.

— Chociaż jeden jedyny raz nie muszę być sama odpowiedzialna — myślałam — ktoś się o mnie troszczy. Miłe i nowe dla mnie uczucie.

W trzy dni później zaręczyliśmy się.

Wstąpiliśmy w nasz związek bez spe cjalnych wyobrażeń i oczekiwań. Mieliśmy jedynie dobre chęci i wzajemny respekt. Mimo, iż zawsze byłam przeciwna aranżowanym małżeństwom, dostrzegłam w nich dobre strony.

W związkach zawartych z intencją — nadzieją na spełnienie oczekiwań — jest tak wielka, że nie trudno o rozczarowanie, w dodatku zawsze istnieje obawa, że miłość przemienie. Natomiast nasza miłość może się rozwijać i utrzymywać, choć jeszcze jej nie ma.

Mama mówi, że przyjdzie sama.

(Fragmenty pamiętnika Benazir Bhutto, wydane w grudniu 1988 r. w USA pt. „Daughter of the East”).

Tłumaczyła
BEATA BARTOSIEWICZ